Nr. 266. Lwów — Wtorek dnia 20 Listopada. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna zlr. 1·10 | Półroczna zlr. 6
Kwartalna „ 3· | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . 1 „
zaś tłustym garmondem po . . . 1 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 „
Nekrologia . . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Feliksa — Mychaiła Arch. | Jutro: Ofiarowanie NMP. — Onysifora M. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 7 m. 22, Zachód „ 4 „ 10 | Długość dnia g. 8 m. 48, Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 19 listopada.

Nareszcie dziś, w ośmnaście dni po zgonie, złożone będą zwłoki Aleksandra III do grobu. Niejeden pogrzeb carski trwał dłużej, żaden jednak nie był tak uroczysty, ani tak łzawy, jak ten. Ludzie obojętni i zupełnie bezstronni pytają, czem to wytłómaczyć? Przecież np. Aleksander II, twórca wielu nader ważnych reform, przyjmowanych przez naród z wdzięcznością, a do tego ofiara strasznego okrucieństwa, nie był tak opłakiwany. Jego syn nie zabłysnął żadnym wspaniałym czynem, któryby nowym blaskiem opromienił Rosyę, albo ją wprowadził na właściwe tory rozwoju. Całe jego rządy były raczej powstrzymaniem obywatelskiego rozwoju, powrotem do policyjnego systemu, którego żelazne kleszcze pękły pod Sebastopolem. Naród nie mógł ukochać go za cofnięcie ojcowskich reform, za uszczuplenie autonomii powiatowej i miejskiej, za oddanie oświaty z rąk obywatelskich w ręce ciemnych popów, za utworzenie stałego stanu oblężenia w wielu miastach i ziemiach, za wzrost podatków. Nie mógł nawet podziwiać jego hartu, jego odwagi, lekceważenia osobistych niebezpieczeństw, czem imponował Mikołaj I. Owszem, wiedział o nim, że się chowa za murami Gatczyny, a ilekroć wyjrzy na świat Boży, to zawsze od narodu oddzielają go całe armie żołnierzy. Wprawdzie, za jego panowania zbudowano dużo kolei i statków wojennych, uregulowano pracę fabryczną, założono banki dla popierania interesów rolniczych, siłę militarną rozwinięto ogromnie; ale to wszystko nie mogło działać na wyobraźnię narodu, nie mogło ani jego serca poruszyć, ani pochlebiać dumie. Więc skądże ten żal po nim, taki wyjątkowy i ostentacyjny? Nam się zdaje, że objawy tej „wielkiej“ — jak ją nazywają w Rosyi — „boleści“ są nieco sztuczne, zręcznie zaaranżowane przez tych, którym przy Aleksandrze III było bardzo dobrze, naród zaś po części dał się porwać za nimi, po części nie mógł postąpić inaczej. Stronnictwo czynowniczo-popowskie, które w ciągu ostatnich trzynastu lat naprawdę rządziło Rosyą głównie na swą korzyść, ma rzeczywiście powód do gorzkiego żalu i do trwogi o swą przyszłość. Ono szczerze opłakuje Aleksandra III, jako dobrodzieja swego, ale oprócz tego tą „wielką boleścią“ chce może przekonać Mikołaja II, że ojcowskie rządy były naprawdę narodowi miłe i że takim właśnie sposobem zdobywa się powszechną miłość, a zatem, że nowe panowanie powinno być wydłużeniem poprzedniego zarówno w całości jak i w szczegółach, t. j. w kwestyi osób rządzących i — używających.

Jeśli klice czynowniczo-popowskiej uda się ta suggestya i jeśli nowy car obierze kierunek, który ona mu podsuwa, to nie sądzimy, aby jego panowanie było tak pozbawione tragicznych momentów, jak panowanie jego ojca. Społeczeństwo rosyjskie reprezentuje wielką sumę interesów moralnych i materyalnych, ma świadomość swej siły i swych potrzeb, a już dawno się przekonało, że biurokratyczne formułki nie mogą załatwiać spraw żywotnych. Dlatego to przed dwudziestu laty domaganie się samorządu prowincyonalnego, lubo spokojne, było jednak tak stanowcze, że Aleksander II musiał pomyśleć o rozszerzeniu swych reform i już przystał na coś w rodzaju konstytucyi. To, coby dał narodowi, gdyby przedwcześnie nie zginął, nie zadowolniłoby Rosyan, albo zadowolniłoby ich tylko na krótko, bo przecież już wtedy na tysiące liczono zwolenników Fadiejewa, który domagał się jak największej decentralizacyi władzy, autonomii nie powiatów, ale całych historycznych prowincyi, a ułożonej nie podług jednego szablonu, lecz zastosowanej do miejscowych potrzeb, obyczajów i ideałów. Być może, iż zwolennicy Fadiejewa stanowili ogromną mniejszość, zawsze jednak pozostanie faktem, że ogół silnie domagał się samorządu, lubo nie miał nic wspólnego z nihilizmem. Okropny koniec Aleksandra II przeraził wszystkich i przed każdym porządnym człowiekiem postawił jedno zadanie: odepchnąć królobójców, wytępić nihilizm! Jedynie tem tłómaczy się łatwość, z jaką pokonano anarchię w pierwszych latach panowania Aleksandra III; tłómaczy się również i to, że społeczeństwo nagle przestało się domagać reform konstytucyjnych, gdyż za rzecz główną i za pierwszy swój obowiązek uważało wytępienie rewolucyi. Przy Aleksandrze III stanęły wszystkie lojalne żywioły i one to dały mu zwycięstwo nad nihilizmem, nie policya, ani żandarmi. Nieruchliwy, niezdolny do samodzielnego myślenia, na miopią polityczną chory, Aleksander III nie zrozumiał, że społeczeństwo tylko pokredytowało mu zaufanie i że po wytępieniu nihilizmu powróci do swych prawno-politycznych żądań. Zaczęło się zakuwanie Rosyi w bizantyjskie formułki, despotyzm panującego zmieniono na stokroć gorszy despotyzm oligarchii czynowniczej, coś dla dobrobytu zrobiono, ale dla myśli nie zostawiono nic. W rezultacie — najlojalniejsi ludzie zaczęli się zżymać, a rewolucya znów się odezwała, dając znać o sobie licznymi zamachami. Gdyby Aleksander III żył dłużej, kto wie, czy nad Rosyą nie zaszalałaby straszna burza.

Mikołaj II jest nowym człowiekiem. On nie potrzebuje, jak jego poprzednik, poświęcić się tropieniu morderców ojca, a gdyby chciał tropić społeczeństwo, to przy nim nie staną ci, którzy dobrowolnie, pod wrażeniem grozy, otoczyli Aleksandra III. Pamięć krwawej sceny z przed lat trzynastu już się trochę zatarła, wrażenie tego czynu przestało głuszyć dążności społeczne, — widać ze wszystkiego, że życie znów się o swoje prawa domaga, jak za czasów Aleksandra II. Zresztą od nowego władzcy ludzie zawsze wyczekują czegoś nowego i właśnie teraz nadzieje zmian rozległych obudziły się w Rosyi bardzo silnie. Już to jedno jest wskazówką rzeczywistego usposobienia społeczeństwa.

Podobno po pogrzebie odbędzie się posiedzenie rady państwowej pod przewodnictwem Mikołaja II. Ma być ułożony manifest, który pojawi się w dzień ślubu cara z księżniczką Alicyą, t. j. w piątek. Otóż zapewniają korespondenci, że już w tym akcie będą pewne wskazówki co do przyszłości, nam się jednak zdaje, że to byłoby zawcześnie. Sądzimy, że pojawi się tylko amnestya dla politycznych skazańców, ale być może, iż na owej radzie państwowej rzucone będą niektóre myśli co do przyszłości. Nie jest bez znaczenia to, że rosyjskie dzienniki, nawet tak urzędowe jak *Warszawski Dniewnik* donoszą, iż hr. Milutin będzie powołany na bardzo wybitne stanowisko. Mymy otrzymali notatkę, że jak się zdaje, usunięte będzie stare urządzenie, podług którego każdy minister robił w swym zakresie co mu się podobało, nie dbając o kolegów i o jednolitość rządowej akcyi, zdawał zaś rachunek tylko przed carem, natomiast zaprowadzona będzie solidarność ministrów, tworzących gabinet, na czele którego stanie prezes, może właśnie hr. Milutin. Ta zmiana jużby sama przez się torowała drogę niektórym reformom.

Wedle ostatnich telegramów, zagraniczni książęta dynastyczni, zgromadzeni w Petersburgu na pogrzeb Aleksandra III, pozostaną tam na ślub, który zresztą odbędzie się z powodu żałoby bez żadnej pompy.

We Włoszech gwałtowna opozycya z dwóch stron atakuje Crispiego. Irredentyści już okrzyknęli go zdrajcą, bo nie pozwala urządzać awantur, skierowanych przeciw Austryi, za sprawę napisu na sądzie powiatowym w Pirano. Znany uciekinier z Tryestu, izraelita Barzilai, który się we Włoszech dobił poselskiego mandatu, urządza w lombardzkich miasteczkach zgromadzenia, na których piorunami ciska w Austryę i w zdrajcę Crispiego. Ręka w rękę idzie z nim stowarzyszenie imienia Dante'go, będące tem dla Włochów, czem dla Niemców austryackich *Schulverein*. Ponieważ każda agitacya, choćby zgoła niedorzeczna, byle gorliwa, w końcu porwie za sobą tłumy, więc też zaczęły we Włoszech demonstrować nawet rady miejskie. Rada miejska Rzymu postanowiła była uczcić pomnikiem znakomitego skrzypka i muzyka XVIII wieku Tartini'ego. Otóż agitatorzy chwycili się tej sprawy, aby z niej ukuć demonstracyę przeciw Austryi z tego tytułu, iż Tartini urodził się był właśnie w Pirano, tem mieście, które głośnem się teraz stało z powodu swego szyldu na sądzie. Tartini otrzyma tedy pomnik z godłami, świadczącemi o irredentyzmie włoskim i o przewrotności Crispiego.

Druga agitacya jest może niebezpieczniejsza. Jak wiadomo, bagnety uspokoiły ludność sycylijską, ale jeść jej nie dały, więc spiski, czyli tak zwane *fasci* jątrzyły po dawnemu. Aby tedy trwale uspokoić głodną ludność, rozdano chłopom grunta państwowe i niektóre miejskie. Efekt był doskonały, ale powstała stąd nowa trudność. Ci chłopi, którzy otrzymali grunta, wystąpili z rewolucyjnych związków i stali się obrońcami porządku, ale wszyscy inni, którzy po dawnemu gruntów nie mają, uczuli się srodze pokrzywdzonymi, o czem świadczą niezliczone bandy zbójeckie, grasujące na wyspie. Wojsko nie może z nimi poradzić, żadna władza nie istnieje, rolnicy pouciekali, a miasteczka żyją jak w oblężeniu. Crispi tedy obmyślił bardzo radykalny środek: ułożył projekt wywłaszczenia wielkich właścicieli ziemi, którą rząd rozparceluje i rozda chłopom. Projekt ten będzie teraz przedstawiony parlamentowi. Otóż szlachta sycylijska zebrała się w Palermie i postanowiła solidarnie zwalczać ten pomysł, a zarazem też obalić Crispiego. W proteście szlachty stoi na czele argument jurydyczny, że państwo nie ma prawa nikomu odbierać własności, nawet za sutem wynagrodzeniem, bo każda posiadłość przedstawia nietylko wartość pieniężną, lecz także moralną wartość, a bardzo często jest historyczną pamiątką rodu. Rząd może kupować szlacheckie majątki na mocy dobrowolnego układu z ich właścicielami, ale nie na mocy *ad hoc* ukutego prawa o wywłaszczeniu. Dalej idzie argument praktyczny. Szlachta już nieraz wydzierżawiała chłopom kawałki swoich gruntów, lecz dzierżawcy regularnie po kilku miesiącach porzucali te zagrody. W ten sposób próby dobrowolnej kolonizacyi zupełnie się nie powiodły. To samo zatem będzie z kolonizacyą rządową. Po kilku latach małe zagrody znowu się złączą w wielkie obszary, ale już w rękach spekulantów, a nie historycznej szlachty, która przecież opiekuje się ludem, o ile może. Małe gospodarstwa rolne nie mogą istnieć na Sycylii z powodu braku wody. Wielcy właściciele ziemi kopią artezyjskie studnie, co kosztuje bardzo drogo, bo taka studnia zwykle wysycha tam po paru latach i trzeba ją znowu w innej stronie świdrować. Oczywiście, nie stać na to chłopa, ani nawet całej gromady chłopskiej, bo szlachcic przenosi swe budynki folwarczne tam, gdzie nową studnię założył, a chłopi przecież nie będą przenosili całej wioski. Rzecz dziwna, że te argumenta, zdaniem naszem bardzo silne, jeżeli prawdziwe, spotkały się z szyderstwami prasy rządowej, która ich nie zbija, a tylko nazywa szlachtę sycylijską egoistyczną, pozbawioną miłości ojczyzny, zrozumienia wielkich zadań czasu i t. d. Naturalnie szlachta się oburzyła, a że płynie w jej żyłach stara krew arabska i że poczucie odrębności dotąd na tej wyspie jest silne, więc rozżalenie przybiera formy niemiłe już nietylko dla Crispiego, ale i dla państwa.

Na domiar przykrości, przybywa rządowi jeszcze jeden kłopot. Kilka miesięcy temu wojska włoskie zdobyły na mahdzistach w górnym Egipcie miasto Kassalę, poczem okrzyknięto, że barbarzyńcy Sudanu już nie istnieją. Tymczasem teraz z głębi pustyni wali na włoską kolonię nieprzebrana moc derwiszów, podzielonych na dwie hordy, z których jedna dąży ku Kassali, druga na Massawę. Rzymskie dzienniki apelują do Anglii o pomoc, ale mglisty Albion udaje, że nie słyszy i o niczem nie wie.

W sprawie reformy wyborczej.

Piszą nam z Wiednia 18 listopada.

Nareszcie z powodzi plotek, bajek, domysłów etc. wyłonił się kontrprojekt p. Rutowskiego. W głównej rzeczy zgadza on się zupełnie z projektem rządowym, ogłoszonym 9 marca rb. Oba projekta nie zmieniają dotychczasowych 4 kuryi wyborczych, tworzą nową 5-tą kuryę, wyznaczają jej 43 posłów. Także co do rozkładu tych 43 mandatów na różne prowincye, a więc 10 dla Galicyi, 10 dla Czech itd., projekt p. Rutowskiego nie różni się od projektu rządowego. Drobne różnice zachodzą jedynie naprzód w tem, że wedle projektu p. Rutowskiego pewna część nowych wyborców wybierać będzie posłów bezpośrednio, inni za pomocą prawyborców, powtóre co do kwalifikacyi nowych wyborców. Projekt rządowy głos wyborczy w 5-tej kuryi przyznawał tym wszystkim pełnoletnim obywatelom, którzy odbyli gimnazyum, szkołę realną, otrzymali patent na jednoroczną służbę, albo są zapisani do obowiązkowych kas dla chorych (robotników), albo od 2 lat opłacają jakikolwiek podatek, oczywiście niższy, niż 5 złr. Projekt p. Rutowskiego rozszerza prawo wyborcze na urzędników prywatnych i komunalnych, a nadto na tych, którzy opłacają rocznie 100 złr. (w miastach), lub (w kuryi włościańskiej,) 50 złr. komornego. Projekt ten świadczy niezawodnie o sumiennem zajęciu się p. Rutowskiego kwestyą wyborczą, ale pod zasadniczym względem nie zmienia w niczem projektu rządowego i dlatego może jest zbyteczny.

Jak wiadomo, projekt rządowy, ani w Kole polskiem, ani w klubie lewicy, ani wśród znacznej części członków klubu konserwatystów nie napotkał z razu na opór. Przeszkodę tworzył jedynie znany kontrprojekt hr. Hohenwarta. Skoro jednak znakomity mąż stanu, jak to przewidywaliśmy w marcu, projekt swój, a raczej pomysł, cofnął, główna przeszkoda upadła i niezawodnie projekt rządowy tworzy najwłaściwszą podstawę reformy wyborczej.

To odnosi się do jego treści. Ale nadto trzeba zważyć, że nigdzie, a najmniej w Austryi, nie możnaby dokonać reformy wyborczej bez stanowczej inicyatywy rządu. *Gouverner c'est conduire!* Nie utrudniajmy sobie trzeźwego sądu fałszywemi analogiami. Jeżeli hr. Taaffe doznał tak dotkliwej porażki, to nie dlatego, że swoich pomysłów nie poddał pod referendum klubów, lecz dlatego, ponieważ jego projekt groził całkowitym przewrotem stosunków politycznych na ujmę warstw poważniejszych, i dlatego, ponieważ hr. Taaffe nie postarał się przed poruszeniem reformy wyborczej utworzyć stałej większości parlamentarnej.

Obecnie sytuacya jest odmienna. Gabinet ks. Windischgraetza nie stoi ponad stronnictwami, lecz składa się z najwybitniejszych mężów zaufania większości parlamentarnej, jest jakoby jej komitetem wykonawczym *a l'anglaise*, a zatem też może w potrzebie postawić kwestyę zaufania. Narady ministrów z różnymi delegatami klubów są dowodem wielkiej uprzejmości pierwszych i powinny rzecz ułatwić. Ależ ostatecznie naszymi głównymi mężami zaufania są pp. Jaworski i Madeyski, którzy do gabinetu weszli jako najwybitniejsi reprezentanci Koła polskiego, a tej kwalifikacyi nie stracili wskutek przyjęcia teki; tak samo zasiadają w gabinecie główni reprezentanci lewicy i klubu konserwatystów. Jeżeli ci panowie zgodzili się na marcowy projekt wyborczy, a przecież niepodobna przypuścić, aby taki projekt był ogłosił margrabia Bacquehem bez przyzwolenia kolegów, natenczas według wszelkich reguł zdrowego parlamentaryzmu większość nie może się temu projektowi zasadniczo sprzeciwić. Kiedy n. p. Gladstone wystąpił ze swym niezmiernie doniosłym billem irlandzkim, niewątpliwie w obozie większości liberalnej odzywały się bardzo sprzeczne zdania i sądy o tym elaboracie, ale wszelkie tradycye nakazywały większości whigów solidarnie głosować za projektem, wniesionym przez swój gabinet. I tak się też stało.

A jeszcze samorząd Irlandyi jest stosunkowo bardzo prostą rzeczą. Wystarczyło skopiować ugodę węgiersko-chorwacką! Gdy tymczasem reforma wyborcza jest tak skomplikowaną rzeczą, że w obozie, na którego prawem skrzydle stoi np. ks. Karol Schwarzenberg, a na lewem p. Lewakowski, z natury rzeczy musi wywołać najrozmaitsze i najsprzeczniejsze życzenia i wnioski. W każdym nawet z trzech głównych klubów dyskusya o reformie wyborczej mogłaby trwać całe lata — bez rezultatu, a cóż dopiero w trzech czy nawet w czterech klubach, należących do koalicyi!

To też niewątpliwie główna rola w tej sprawie przysługuje gabinetowi. Trzeba z góry przypuścić, że gabinet, złożony z głównych reprezentantów większości parlamentarnej, nie zaproponuje żadnej reformy sprzecznej z jej życzeniami, a projekt marcowy istotnie dowiódł, że gabinet wywiązał się należycie ze swego zadania. W takich stosunkach szczegóły nie mogą i nie powinny utrudniać sprawy. Że jako prawi autonomiści życzymy sobie przywrócenia sejmowi galicyjskiemu prawa wybierania delegacyi do Rady Państwa, że Galicya wobec Czech jest znacznie upośledzona co do liczby posłów — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale możemy być pewni, że czego nie zdołali w gabinecie przeprzeć pp. Jaworski i Madeyski, tego też w danej sytuacyi parlamentarnej nie osiągną najgorliwsze zabiegi Koła, a tem mniej pewnych jego frakcyi miejskich czy włościańskich, gdy, mówiąc w nawiasie, według dobrych naszych tradycyi, Koło reprezentuje zawsze w izbie cały naród, a przynajmniej kraj i nie powinno nigdy schodzić z tego wyższego stanowiska, któremu od 34 lat zawdzięcza wszystkie swoje sukcesa.

---

5)

O poezyach Konopnickiej

przez X. Karola Niedziałkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Przytoczę tu jej wizerunek, skreślony mistrzowskiem piórem Ludwika Veuillota; malował go on z natury, bo ze swej siostry Elżbiety. Motylem i kwiatem ona nie była, bo brat gdzieś o niej powiedział, że miała „oczy anioła i plecy mularza“, a jeżeli była podobną do brata, to była zupełnie brzydką; jednak więcej była ona wartą (raczej jest, bo żyje podobno dotąd), niż wszystkie „kwiaty, ptaszy i motyle“ p. Konopnickiej. „Naszkicuję tutaj“ pisze do niej brat „twoje szlachetne i słodkie oblicze, upiększone w oczach naszych, jak i w oczach aniołów, przez troski, co przed czasem zmęczyły ciebie, któraś dla miłości Boga wyrzekła się służenia Bogu (mowa tu o wstąpieniu do klasztoru), a kochając, odrywasz się od radości kochania. Ty nie masz w zupełności ani pokoju klasztornego, ani pieczy o ubogich, ani apostolstwa w świecie, i twoje wielkie serce umiało wyrzec się wszystkiego, co było wielkie i doskonałe, jak ono. Zamknęłaś życie w kole małych obowiązków, służąc bratu, zastępując matkę sierotom. Tam jesteś jak najtroskliwsza małżonka i najcierpliwsza matka: oddajesz się cała, odbierasz zaledwie w połowie. Oddałaś młodość, swobodę, przyszłość; nie jesteś więcej sobą, ale tą, której nie masz — zmarłą małżonką, matką pogrzebaną. Jesteś dziewicą wdową, zakonnicą bez zakonnej zasłony, małżonką bez praw, matką bez jej imienia. Ofiarujesz twe dni i czuwania dzieciom, które cię nie nazywają matką, i wylewałaś łzy matczyne nad grobami, które nie kryły twoich dzieci. A w tej pracy, tem zaparciu się i tych boleściach ty szukasz odpoczynku i znajdujesz go, wspierając inne jeszcze słabości, pomagając innym cierpieniom, lecząc inne jeszcze rany! O, bądź błogosławioną od Boga, jak cię błogosławią serca nasze.“

Bardzo to niepodobny wizerunek do „wiosny poranków, śpiewnej ptaszyny“, ale chyba niewielu wahałoby się w wyborze między tą a tamtą.

Jedną z najtrudniejszych i najmniej przyjemnych prac jest bez wątpienia rozprawianie i wykazywanie omyłek człowiekowi, który rzeczy nie zna gruntownie, ale tylko słyszał o niej piąte przez dziesiąte. Taką pracę niewdzięczną ma każdy, kto chce rozprawiać o historyi Kościoła z ludźmi, nietylko mającymi ku niemu niechęć, albo wprost nienawiść, ale o jego dziejach i losach wiedzącymi to i owo bez ładu i związku, przeinaczone, przekręcone, a do swej niechęci zastosowane. P. Konopnicka, jak cała jej szkoła, ma taką znajomość działalności i losów Kościoła, że dość trudno znaleźć jej równoważnik. Niezbyt dawno w jednym z dzienników spotkałem kilka wiadomości o Europie, wyjętych z geografii chińskiej. Podług niej Anglia naprzykład składa się z 55 wysp i leży tak blisko bieguna północnego, że nic w niej dojrzewaćby nie mogło, gdyby nie spryt Anglików, którzy pod całym krajem porządzali podziemne piece, połączyli żelaznemi rurami i tak uczynili go przydatnym dla rolnictwa. Kto zna historyę naszego Kościoła ze źródeł autentycznych i ducha jej rozumie, a porówna z tem, co o niej myśli i pisze nasz ogół krytyczny, nie posądzi mnie o przesadę, gdy te dwie znajomości obok siebie postawię. Kiedy mowa z bezwyznaniowymi czyli liberalnymi krytykami o dziejach chrześcijanizmu, prawie zawsze jedyną tylko życzliwą radę dać im można, tę samą, którą oni daliby chińskim geografom: „Zacznijcie od początku.“ Sądzę jednak, że Chińczycy pierwej nauczą się rzeczywistej geografii Europy. Jak bo można mieć nadzieję porozumienia się, gdy kto, jak p. Konopnicka, twierdzi, że chrześcijanizm

„Mnogie ustawy kreślił zadumany,
Prócz jednej tylko ustawy... miłości.“

albo jak ona w dalszym ciągu tego „Fragmentu“ (Poezye, 1890), nędze nieodłączne od natury ludzkiej i sprawki nieprzyjaciół chrześcijanizmu zwala właśnie na chrześcijanizm? Jak bo tu porozumieć się z ludźmi, których płytkość rozumowania, połączona z namiętnością, tak zaślepia, że co u jednego białem, to w drugim nazwą czarnem?

Jednym naprzykład z najcięższych zarzutów, czynionych Kościołowi, jest ten, że nie chce on do ducha czasu i nowożytnego postępu swojej moralności i dogmatów naginać; dlatego każdy postępowiec swe ćwiczenia stylowe niechybnie od urągania wsteczniotwu i skamieniałości Kościoła zaczyna. Pamiętamy, jak to burza w całej Europie szalała przeciwko Piusowi IX za orzeczenie Syllabusa, że Kościół nie zgodzi się nigdy z teraźniejszą niechrześcijańską cywilizacyą. Jeśli jednak ci sami krzyżacze odkryją w historyi Kościoła, że ten lub ów zwyczaj współczesny, prawo, teorya naukowa była przez ludzi kościelnych praktykowaną i przyjętą, końca nie ma zarzutom i szyderstwom. Aleksander VI Borgia np. jest u tych panów zawsze na ustach: „Kościół, na którego czele stał taki Borgia...“ (tu następują pioruny krasomówcze). Borgia rzeczywiście, nim został Papieżem, był obyczajów rozwiązłych, ale przyjaciele wyzwolonej moralności i wolnej miłości najmniejszego prawa nie mają do rzucania błotem na niego; przecież on robił to, co wy panowie za dobre uważacie, więc chyba za to na niego piorunujecie, że do waszej doskonałości nie doszedł, a powtóre: on, prowadząc życie niemoralne, szedł właśnie za duchem swego czasu, rozpustnej epoki odrodzenia, jak szedł Rafael, Benvenuto Cellini, Franciszek I i tutti quanti, których pomimo to pod niebiosa wynosicie.

Galileusz nie schodzi nigdy z pola, jako dowód nieuctwa Kościoła i jego omylności. Potępił go wszakże nie Kościół, ale kongregacya rzymska; system Ptolomeusza nigdy nie był za dogmat ogłoszony, a powtóre prałaci rzymscy właśnie szli w swym wyroku za duchem czasu i ogólnie przyjętem zdaniem naukowem. P. Konopnicka rzuca gromy na Rzym za Husa, ale najpierw zapomniała widocznie, że spalił go cesarz niemiecki, a powtóre, że owe okrutne egzekucye i tortury weszły do prawa europejskiego razem ze wskrzeszonem prawem rzymskiem, więc pogańskiem; że odrodzenie, a potem protestantyzm wzmógł ten kierunek nieszczęśliwy i że Kościół, stosując się do niego, szedł tylko za duchem czasu. Jakże więc pogodzić to potępianie Kościoła za niestosowanie dogmatów do ducha czasu teraz z potępianiem za stosowanie się w kwestyach obyczajowych czy naukowych dawniej?

P. Konopnicka nie wie, czy kto kiedy chodził do ubogich chatek, by nauczyć jej mieszkańców „co godnem jest cześci;“ zapytuje: „przedmiotem czyjej troski i narady, jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku;“ utrzymuje, że „gdyby Chrystus tu przebywał z nami, toby chodził ciemnemi nocami i zbierał głodnych, zziębniętych nędzarzy i tulił u swoich ołtarzy;“ gorszy się wreszcie, że kościoły zamykają się na noc „z litością i Bogiem.“ Gdyby poetka zechciała kiedy wzrok swój oderwać od tych niedościgłych krain, „gdzie nieskończoność w ciemnościach“ rządzi losami światów, a spuściła go „na ziemskie nizkości,“ gdyby zaglądała idąc za radą O. Elizeusza, do książki, do historyi, toby znalazła bardzo łatwo odpowiedź na wszystkie swe pytania. Przekonałaby się, że we wszystkich krajach chrześcijańskich byli ludzie, że nawet było ich bardzo dużo, którzy chodzili do chatek biedaków, ucząc ich co godnem jest cześci, ucząc kochać nietylko „zagon ojczysty,“ ale, co daleko więcej, bliźniego swego i co jeszcze więcej, Pana Boga swego; że byli ludzie, których troski nieustannym przedmiotem było „znikczemnienie bliźniego w zwierzęcym spoczynku;“ że byli ludzie, którzy w zastępstwie Chrystusa zbierali nędznych, głodnych i zziębniętych w cieniu ołtarzy jego; dowiedziałaby się, że nawet teraz wszędzie są tacy ludzie, lecz że ich jest mało, daleko mniej niż dawniej. Dlaczego zaś mniej? tegoby się także dowiedziała z historyi, która bardzo wyraźnie opowiada jak to się stało, że skargi p. Konopnickiej mają pewien pozór słuszności.

Przytoczę tu jeden przykład z tysięcy, z bardzo wielu tysięcy. L. Veuillot odbywał wycieczkę w góry na granicy Szwajcaryi i tak opowiada jeden z epizodów swej podróży: ...„i słońce świeciło, gdyśmy stanęli w progu domostwa. Nazywają tu „domostwem“ resztki opactwa i starego pięknego kościoła, jedyne pomniki, jakie kiedykolwiek istniały w tej dzikiej okolicy. Mnisi tutejsi zasadzili dolinę, upiększyli ją, ucywilizowali — i z tego miejsca usunięto ich. Nie lud ich wygnał; on się tej roboty nie podejmuje. Lud tamtejszy był rzeczywistym właścicielem dóbr opactwa. Księża uczyli go, karmili, dawali mu ziemię na długie termina i na mały czynsz. Kto miał powołanie do nauki i modlitwy, mógł przywdziać habit zakonny i stawał się ze swej strony właścicielem dóbr najmowanych jego rodzinie. W owe czasy czynszu nie podnoszono nigdy. Z miast sąsiednich przyszło kilku filantropów postępowych — i ci wyzwolili ten lud nieszczęśliwy. Wyzwolili go z wielu upokorzeń: najpierw z upokorzenia niskich czynszów; następnie z upokorzenia, że mnisi byli ich właścicielami, mnisi nauczycielami, doradzcami i sędziami, że ich wujowie, synowcowie, dzieci byli także mnichami. Odtąd za wychowanie, za sprawiedliwość, bezpieczeństwo, za to wszystko, co dawniej mieli darmo, teraz chłopi miejscowi musieli płacić, jak wolnym ludziom przystało. Jeśli za to płacić nie mogli, mieli zaszczyt być tego pozbawionymi. Opactwo to dość długo miało prawa zwierzchnicze, jego wassale, obrońcy kantonu, nie płacili podatku i byli wolni od wojska. Otwarto im szlachetną karyerę broni i przysłano poborcę. Ozdoba i chwała ich doliny, piękne opactwo, zbudowane ze szlachetnych rzeźbionych kamieni, zostało zniszczonem i ogołoconem. Potężny dzwon kościelny — na stopienie! Obrazy i posągi — tandeciarzom. Ubiory tkane z jedwabiu, srebra i złota — żydom, albo do błota! Przelano na sztaby monstrancyę i naczynia święte. Organ, który śpiewał dnia każdego, przetopiono na łyżki cynowe. Piękne stare księgi, zbierane zewsząd przez wieki całe, podpaliły chwalebny stos ułożony ze stali i konfesyonałów rzeźbionych ze starego dębu czarnego jak heban. Obrzędy religijne w dni Pańskie i w dni świętych jego, śpiewy, procesye po górach, błogosławieństwa, odpoczynki, wszystko to zastąpiły zebrania gwardyi miejscowej. Okolica nie znała ani jednego pijaka, ani jednego żebraka, ani jednego łotra. Teraz jest tego wszystkiego dosyć... A ileż większe jest spustoszenie w duszach! Ile głów pochylonych, ile serc obciążonych, ile myśli głucho zbuntowanych, gdzie zazdrość i nienawiść fermentują w ciemnościach!“

(Dokończenie nastąpi).

Prawda, że ostatecznie po gabinecie ks. Windischgraetza mógłby nastać — inny. Ale jaki? Parlamentarny z pewnością nie. Bo inna większość parlamentarna, jak teraźniejsza, w danych stosunkach jest niemożliwa. Mógłby więc nastać tylko gabinet czysto biurokratyczny, bez reprezentantów stronnictw parlamentarnych. Aby taki gabinet zdołał przeprowadzić reformę wyborczą, wątpimy. Aby bardziej uwzględnił interesa, niż gabinet dzisiejszy, nie można ani żadną miarą spodziewać. W każdym razie przeprowadzenie reformy wyborczej jest przedewszystkiem rzeczą gabinetu koalicyjnego. Pierwotny projekt jego pod względem zasadniczym nie zawiera nic takiego, coby wymagało naszego oporu. Spierać się zaś z gabinetem o projekt p. Ratowskiego, byłby to spór *de lana caprina*. Bo rzeczywiście na wykrycie różnic pomiędzy temi dwoma projektami potrzeba mikroskopu.

Z RZYMU

piszą do *Gazety Kościelnej*:

Mieliśmy tu w październiku prawdziwie piekielną heckę antyklerykalną! Dzienniki żydowsko-masońskie uderzyły na alarm, wzywając wszystkich ludzi dobrej woli, którym chwała ojczyzny leży na sercu, do ratowania zagrożonej moralności. Przeciw komu? — zapytacie. Oto przeciw zakonnicom, których klasztory mają być jaskiniami zepsucia. Wedle nibyto najautentyczniejszych informacyi wspomnionych pism, rzecz tak się miała.

W r. 1885 niejaka Teresa Palmieri, rozwiódłszy się z rozpustnym i rozpustnym mężem, oddała swą córkę Sylwię na wychowanie do sióstr w klasztorze św. Józefa i św. Teresy w Miracoli w Neapolu. Przed kilku miesiącami nieszczęśliwa kobieta otrzymała nagle list rozpaczliwy, w którym córka zaklina na wszystko, aby matka ją wzięła z klasztoru. Gdy stara przełożona klasztorna, Marya Teresa Ferrante, zawsze zabiegi Teresy celem wydobycia córki udaremniała, matka na pomoc wezwała policyi, która też wtargnęła w nocy do klasztoru. Teraz nieszczęśliwa Sylwia podyktowała do protokołu rzeczy, których wstydliwość nie pozwala dziennikom powtórzyć. Dość powiedzieć, że biedne dziecko padło ofiarą niemoralnej przełożonej. Niegodziwą megierę przeprowadzono jeszcze tej samej nocy do więzienia, a równocześnie schowano pod klucz także kapelana klasztornego. Nadto wprowadzono prokuratora proces potwornemu ojcu Sylwii, bo znalazła dowody na to, że popierał sprawki przełożonej.

A by i analfabeci mogli się dowiedzieć o tem, co dzieje się poza murami klasztornymi, illustrowane dzienniki przyniosły rysunki, przedstawiające sceny aresztowania rzekomej zakonnicy. Widzimy tu, jak karabinierzy przemocą zabierają zbielałą winowajczynię, podczas gdy jeszcze siostry rzucają się do nóg, na kolana, a inne w rozpaczy załamują ręce. Równocześnie ogłaszają już ogromne afisze ilustrowane abonament na sensacyjny romans pod tytułem: „*I misteri del chiostro*“ (tajemnice klasztorów), gdzie autor zapowiada, że będzie podawał same nagie fakta, z których jednak najniemoralniejsze będzie musiał przemilczeć *per il pudore* (dla wstydu).

Pokazało się prawdziwie, wesele to trwało krótko, kłamstwo wyszło na jaw i niedługo dzienniki, z potwarzy robiące rzemiosło, przed kratkami sądowemi będą musiały odszczekać swe oszczerstwa. Okazało się mianowicie, że ta niecna Teresa musiała opuścić męża, że mąż wziął rozwód z niemoralną żoną i oddał córkę na wychowanie powszechnie szanowanym zakonnicom, aby ją uchronić od wpływów złej matki, syna zaś umieścił w miejskim zakładzie dla ubogich.

Wyrodna matka listami wywabiła córkę do swego domu, gdzie najgorsze zbierało się towarzystwo i namówiła do opuszczenia klasztoru. Ojciec, dowiedziawszy się o tem, zrobił doniesienie do policyi, aby ta interweniowała przeciw żonie swe prawa ojcowskie. Kazano mu przyjść na drugi dzień razem z dokładnym adresem żony, a tymczasem uwiedziono tej nocy 10-letnią siostrę Maryę Teresę, w rzeczywistości jest zaskarżyła ks. kapelana i przełożoną. Teraz sam ojciec wystąpił w dziennikach z obroną zniesławionej zakonnicy i kapelana, głosząc, że siostra Marya Teresa, otaczała jego dziecko opieką prawdziwie macierzyńską. A że słowa jego są prawdziwe, dowodem fakt, iż zakonnica i kapelan zostali bez kaucyi wypuszczeni na wolność.

Zajście to przypomniało mi historyę Barbary Ubryk, która do dziś dnia pokutuje w Rzymie na deskach teatralnych w sztuce, noszącej tytuł, jak wyczytałem niedawno na afiszu: „La monaca di Cracovia“. (Zakonnica krakowska)

Teraz słówko o szkolnictwie włoskiem.

W lipcu b. r. dał minister oświaty abituryentom do wypracowania temat: „O korzyściach, jakie dla Włoch przyniósł dzień 20 września“. Temat równobrzmiący kazał wypracować komisarz królewski kandydatkom stanu nauczycielskiego przy egzaminie kwalifikacyjnym w Turynie. A teraz ten pedagog poszedł jeszcze dalej, bo kandydatkom, które nie zdały egzaminu w lipcu, przedłożył zadanie następujące: „Czy i z jakich racyi kandydatka uważa za stosowne albo niestosowne nauczanie w szkołach elementarnych pozytywnej religii“.

Komentarza chyba taka pedagogia nie potrzebuje! Czyż to nie znaczy nadużywać swej władzy i wywierać najniemoralniejszy nacisk na sumienie i przekonania podwładnych, którzy od pomyślnego wyniku egzaminu oczekują posady i kawałka chleba!

Ale przejdźmy do rzeczy przyjemniejszych.

Jak zawsze, tak i w tym roku święciły Zjednoczone Włochy dzień 20 września (dzień zaboru Rzymu), tym razem nie obeszło się jednak bez fałszywej dla rządu struny. Radość tłum zagnał syndyk miasta Ruspoli, adwokat Ricci, który nie wywiesił na gmachu miejskim chorągwi narodowej. Za krok ten niezwłocznie usunął go Crispi drogą telegraficzną z zajmowanego urzędu. Postanowiony jak dzielny ten człowiek pojmuje swoje obowiązki obywatelskie. Przytoczę urywek z jego listu, jaki przesłał do jednego z dzienników włoskich: „Uczyniono mi zarzut, powiada on, że postąpiłem wbrew prawu; tymczasem żadne prawo państwowe nie nakazuje wywieszać w dniu 20 września sztandaru włoskiego, ani też wojsko nie święci tego dnia uroczyście. Wprawdzie prefekt królewski zrobił mi uwagę, upominając mię, że „święto 20 września jest po nad prawem“, jednak jest to punkt sporny. Pamiętam dobrze, że profesorowie prawa państwowego uczyli mnie, iż nic nie sięga po nad prawo, nawet wola króla, bo król jest wyrazem jednym z istotnych elementów prawa, ale jeszcze nie samem prawem; prawo zaś jest emanacyą zjednoczonej woli wszystkich władz państwowych. Zresztą miałem jeszcze inny powód do trzymania się zdala od święta, jeno młodzież, tworząca tak zwany klub szatana i mająca na swym sztandarze szatana. Zdawało mi się haniebnem, aby syndyk z Rzymu, gdzie większość ludności jest szczerze katolicka, miał iść ręką w rękę z młodzieżą, urządzającą święto narodowe pod patronatem szatana w tej samej chwili, kiedy pierwszy minister królewski wymówił imię Boga i wzywał, aby Kościół i państwo pracowały zgodnie dla dobra ludu... A taka zgoda jest konieczna. Bo jeśli cześć ukochanej naszej ojczyźnie trzeba, aby potęga religijna i społeczna zjednoczyła wszystkich ludzi prawych pod egidą krzyża. Obywatel i katolik — to moje hasło!“

Ricci otrzymał tysiące telegramów z całych Włoch, gratulujących mu jego odwagi obywatelskiej. Stowarzyszenie rzymskie dla interesów katolickich i młodzieży katolickiej przysłało mu adres; z pięciocentowych składek zebrano już pokaźną sumę na złoty medal dla niego, a nadto po jego stronie stanęli publicznie także syndycy większych miast włoskich. Tych sekwensów boi się liberalna prasa, jest to, bo że — tak i dobre bywa szczerstwem.

Od kilku dni bawi tutaj Emil Zola. Robi studya lokalne do planowanego cyklu romansów pod wspólnym tytułem: „Lourdes-Rzym-Paryż“. Pierwsza część o Lourdes już się ukazała na półkach księgarskich i na Indeksie. Obecnie jego czytelnicy wyczekiwać będą, pisząc dla jego wiadomości o Rzymie. Zola szukał wpływów pomocniczych, lecz zamierza sam zgłębić się w przeciągu trzech tygodni. Zola wnet po przybyciu swojem złożył wizytę francuskiemu ambasadorowi przy Kwirynale, a zarazem starał się za jego pośrednictwem uzyskać audiencyę u Leona XIII.

Sekretarz stanu miał pono oświadczyć ambasadorowi, że nie może przedłożyć Ojcu św. prośby p. Zoli. Faktem jest, że dla głośnego beletrysty drzwi Watykanu są tak hermetycznie zamknięte, jak podwoje Akademii francuskiej w Paryżu.

W dniu 8 bm. odbyło się piąte i ostatnie posiedzenie konferencyi, na którą zwołał Ojciec św. katolickich Patryarchów oryentalnych celem przywrócenia katolickiej jedności kościelnej na Wschodzie. Treść uchwał jest przedmiotem najściślejszej tajemnicy. Nie może być inaczej, w kołach jednak dobrze zazwyczaj poinformowanych sądzą, że na razie szło tylko o zachowanie i potwierdzenie przywilejów, przysługujących wschodnim patryarchom, iżby dysydenci poznali, że bynajmniej nie chce się latynizować ich, lecz tylko pragnie przyprowadzić do uznania naczelnego zwierzchnictwa Piotrowego w Kościele. Unici na Wschodzie — jest ich około 8 milionów — mają więc sami, przykładem i czynem, przeciągać do unii odłączonych braci, by zaś ułatwić im to zadanie, utworzoną zostanie osobna Kongregacya *pro fovenda unione* i powstaną specyalne szkoły na Wschodzie.

Zapewne, góry przesądów i uprzedzeń stoją na zawadzie pozyskaniu odszczepieńców dla Kościoła; Ojciec św. wie o tem najlepiej, mimo to — *contra spem in spem* — prowadzi dalej pokojowe dzieło, którego wspaniałym wyrazem jest Encyklika „Praeclara“. Bądź co bądź, jakikolwiek obrót wezmą usiłowania Papieża, zawsze one świadczyć będą o jego wielkiem sercu, pełnem miłości Bożej.

KRONIKA.

Lwów 19 listopada.

Mianowania. Ministerstwo handlu zamianowało praktykanta pocztowego, Tadeusza Przewłockiego, konceptowym praktykantem przy dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie.

Dar honorowy. W Krakowie zawiązał się komitet, na którego czele stanęli pp. August Gorayski z Moderówki, p. Jan Götz-Okocimski z Okocima i fabrykant p. Leon Zieleniewski z Krakowa; komitet ten postawił sobie za zadanie ofiarować p. Marchwickiemu dar honorów od przemysłowców i rękodzielników całego kraju, w uznaniu zasług, jakie na stanowisku dyrektora wystawy krajowej położył dla przemysłu i rękodzieł krajowych. Wymienieni panowie zwrócili się do przemysłowców i rękodzielników w całym kraju z wezwaniem do składania datków na dar honorowy.

Konkursa. Sąd powiatowy w Boryni poszukuje dyetaryusza.

Śluby. W kościele PP. Wizytek w Warszawie odbył się ślub panny Wandy Matlaszyńskiej, córki śp. Juliana i Sabiny z Kowalskich, z p. drem Kazimierzem Kirchmayerem, adwokatem w Krakowie.

Komisye Rady nadzorczej krak. Tow. ubezpieczeń rozpoczynają swoje prace jutro dnia 20 bm. Listopadowa kadencya pełnej Rady rozpocznie się dnia 26 bm.

Piknik strzelecki z tańcami i wspólną wieczerzą odbędzie się w sali strzeleckiej w sobotę 24 bm. Początek o godzinie 8 wieczorem.

Ze sfer adwokackich. Dr. Emil Psarski, adwokat w Dąbrowie, przeniósł się do Tarnowa.

Dr. Romuald Binder, b. elew klinik wiedeńskich, b. asystent zakładów leczniczych krajowych i zagranicznych, osiadł po odbyciu studów specyalnych w Meranie.

Powód aresztowania ks. Stojałowskiego. W sobotę donieśliśmy, że w Cieszynie aresztowano ks. Stojałowskiego. Aresztowanie to jest tylko epilogiem jednego z licznych procesów jego, datujących się z przed dwóch lat podobno. Sąd skazał wtedy ks. Stojałowskiego za jakieś wykroczenie na dwa tygodnie aresztu, ale w żaden sposób nie mógł skazanemu doręczyć wyroku, a tem mniej zmusić go do odsiedzenia kary, gdyż ks. Stojałowski ciągle wojażował. Dopiero przed kilku dniami, kiedy ks. Stojałowski wrócił z Czaczy na Węgrzech, gdzie drukuje swoje pismo, aresztowano go w Cieszynie i zniewolono go do odbycia dawnej kary. Po dwóch tygodniach zatem ks. Stojałowski będzie wolny.

Na pogrzeb cara zjechało do Petersburga mnóstwo dygnitarzy, wysokiej arystokracyi i członków domów panujących z całej Europy, a nawet z Azyi. Przybył np. książę Siamu. Do cerkwi św. Piotra i Pawła, gdzie ustawiono zwłoki carskie na katafalku, cisną się tłumy ludzi, aby, wedle prawosławnego zwyczaju, złożyć pocałunek na ręce zmarłego i na czole, które przewiązane jest paskiem papieru z wypisaną na nim formułą, że zmarły był prawosławnym i że zasnął w Bogu. Przez dzień idzie jeszcze jako tako, bo do cerkwi puszczają za biletami, ale w nocy, kiedy biletów nie żądają, panuje ścisk nieopisany. Tłum pięćdziesięciotysięczny posuwa się zwolna placami i ulicami krok za krokiem, a ci, co dalej stoją, godzinami muszą wyczekiwać o głodzie na zimnie i słocie, zanim na nich kolej przyjdzie. Nad ranem tłum zaczyna się niecierpliwić i pobyt wśród niego jest coraz niebezpieczniejszy. Co nocy zabierają do szpitala po kilka osób z pogniecionemi żebrami lub połamanemi rękami i nogami. W krytycznych chwilach występuje policya, żandarmi i kozacy bijąc w tłum na oślep nahajkami i kolbami, a kiedy ścisk staje się całkiem niemożliwy, wtedy szarża kozaków rozpędza tłum. O natłoku można mieć wyobrażenie z tego, że w Aleksandrowskim parku połamano baryery i drzewa, a krzyk jest taki, że wielu myśli, iż lud się buntuje. Być może, iżby się bez tego nie obeszło, ale policya przezornie już naprzód poaresztowała wszystkich przewódców, agitatorów i podejrzanych lub wydaliła ich z miasta. Wśród tłumu sprzedają jaskrawe oleodruki przedstawiające cara na marach w mundurze. W istocie w mundur cara niepodobna było ubrać, tak zeszczuplał okryto go więc srebrzystą materyą, udrapowaną tak, że tylko chude ręce widać.

Z Nowego Sącza donoszą: Wczoraj (15 bm.) przy śliczenej pogodzie zanieśliśmy do grobu zwłoki śp. dra Karola Slawika, lekarza, a od lat pięciu burmistrza miasta. Pogrzeb wspaniały, na jaki się miasto nasze zdobyć mogło. Mowy pogrzebowe dwie, jedna księdza Załęskiego w kościele, druga notaryusza dra Lipińskiego nad grobem. Nieboszczyk odznaczał się prawością charakteru i zjednał sobie sympatyę w licznych kołach. Silnie zbudowany, zapadł przed trzema miesiącami na wąpnienie żył, a skończył na paraliż serca. Sakramenta święte przyjął przytomnie na kilkanaście dni przed śmiercią.

Aspirantów na burmistrzowstwo sądeckie wyliczają aż siedmiu. Nieprędko jednak nastąpi wybór, — tymczasem rządzi miastem wiceburmistrz dr. Lipiński. Miasto dźwiga się powoli z gruzów — rynek już prawie cały zabudowany, — kilka ulic rozszerzonych. Kościół i dom jezuicki już wyrestaurowany, spalone dawne gimnazyum już prawie pod dachem; wszystkie budynki kryte blachą lub dachówką, tylko stara żydowska dzielnica rzadko zabudowana. Miasto stara się o znaczną pożyczkę krajową, aby wybudować ratusz (kosztorys na 80.000 zł), szpital, dom ubogich, a dawny szpital miejski przerobić na strażnicę pożarną. Dla prywatnych mieszkańców Sącza udzielił rząd pożyczki 200.000 zł. Okrutna moc kandydatów do tej pożyczki; nie łatwa robota obdzielić i zaspokoić choć w części wszystkich. Wypłaconą ma być na wiosnę a może do lata się zwlecze.

Z Klubu pocztowego. Przedstawienie amatorskie Klubu urzędników poczty i telegrafu ściągnęło wczoraj do sali „Frohsiana“ tłumy publiczności. *Great attraction* wieczoru była jednoaktówka p. t. „Nierozegrana walka“, oryginalnie napisana przez członka Klubu p. Aleksandra Strokę. Jeżeli krotochwila nie ma nam dawać części realnego życia, ale tylko jego karykaturę, to autor odpowiedział swemu zadaniu. Karykatury, jak kapitan, Anastazy, Tadeusz i Julia obracają się szybko — może za szybko — w karykaturach sytuacyi, świadczących o wielkiej dozie humoru i sprytu dramatycznego autora. Trochę może za późno, bo w 3/4 całości zawiązany węzeł, rozwiązuje się, przyznać należy, w sposób dosyć oryginalny i choć Numa nie wychodzi za Pompiliusza, kończy się rzecz ku powszechnemu zadowolnieniu. Rozumie się, że tym razem, jak zawsze, przyczynili się do powodzenia sztuki jej wykonawcy, a główna zasługa należy się p. Fontanie, kapitanowi i pani Baronowej w roli Julii. Doskonałym Anastazym był p. Baron a p. Stroka, który wczoraj w własnej sztuce występował jako Tadeusz, zbierał też huczne oklaski jako wykonawca i autor.

Teatr Bogusławskiego, ustęp z dziejów sceny warszawskiej w latach 1777—1794. Odczyt pod powyższym tytułem wygłosi w tutejszem „Kole literacko-artystycznem“ p. Stanisław Schnür Pepłowski w piątek dnia 23 bm. o godzinie 8-mej wieczorem. Wstęp wolny dla członków „Koła“ z rodzinami, oraz osób przez nich wprowadzonych.

Jubileusz. Z Krakowa donoszą, że p. Józef Męciński, od wielu lat poseł na Sejm krajowy, obchodzić będzie niebawem 25-letni jubileusz pracy swej w krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. Wybrany w roku 1870 do Rady nadzorczej tej instytucyi, brał gorliwy i wydatny udział w jej pracy. W uznaniu tego wybrany został wiceprezesem Rady nadzorczej. Z powodu zbliżającego się jubileuszu przygotowują dyrekcya i urzędnicy Towarzystwa piękny adres, który będzie wręczony na listopadowej kadencyi Rady, rozpoczynającej się 26go bm.

Z Łańcuta nam donoszą: Dnia 16 bm. zmarł w Kańczudze, w powiecie łańcuckim, w 34 r. życia lekarz miejski dr. Konrad Mieczysław Palka. Nieboszczyk, mimo krótkiego dopiero pobytu w Kańczudze, pozyskał sobie jako lekarz ogólne uznanie, a dla ujmujących zalet charakteru powszechną sympatyę. Zmarł w wykonywaniu swych obowiązków skutkiem zakażenia gnilnego. Osierocił żonę i dwoje drobnych dziatek.

Na podstawie Lysistraty Arystofanesa ułożył p. St. Koźmian dla teatru lwowskiego komedyę w 4 aktach pod tytułem: „Lysistrata czyli Wojna i Pokój“. Dyrekcya zamierza wystawić z wielkim sumptem tę komedyę w pierwszych dniach roku przyszłego.

Rocznica Unii brzeskiej. Ruski organ duchowny *Duszpastyr* donosi: W niedzielę dnia 4 bm i w następną dnia 11 b. m. zaprosił ks. Metropolita liczne koło Rusinów lwowskich (122) tak duchownych, jak świeckich, dla przygotowania prac około 300-letniego jubileuszu Unii brzeskiej. Zebrani wybrali ze swego łona komitet, któremu polecili przestudyować liczne nadesłane już projekta co do święcenia tej uroczystości i na tej podstawie ułożyć program. Komitet ma wielką pracę przed sobą, ile że celem wszystkich nadesłanych projektów — między temi głęboko obmyślanego i wykończonego projektu księdza P. Krypiakiewicza z Hailic wielkich — jest uczynić to święto świetnem, wszechnarodowem i epokowem.

W skład komitetu weszli pod przewodnictwem ks. metropolity: ks. mitrat Siengalewicz, jako prezes, ks. mitrat Bielecki i profesor dr. Szaraniewicz, jako wiceprezesi; księża: Piórko, Juryk, Jackowski i W. Nawrocki, jako sekretarze: poseł Barwiński, ks. dr. Bartoszewski, ks. kanonik Baczyński, radzca Bereźnicki, ksiądz Wasylewski, poseł Wachnianin, radzca Hawryszkiewicz, ks. M. Hankiewicz, dr. Kl. Hankiewicz, D. Kowalski, ks. dr. Komarnicki, ksiądz dr. M. Lewicki, inspektor J. Lewicki, ks. Onufry Łepki, prof. Maryniak, ks. Pawlikow, ks. prałat Petruszewicz, ks. dr. Sarnicki, M. Spożarski, ks. A. Toroński, ksiądz prałat Turkiewicz, dyrektor E. Charkiewicz, dr. S. Fedak, radzca dr. Drozdowski, ks. E Huzar, ks. dr. Delkiewicz i M. Sembratowicz.

Jak z powyższej listy komitetu widać, weszli w skład jego reprezentanci wszystkich ruskich stronnictw i stanów, mamy więc nadzieję, że komitet weźmie się energicznie do pracy i że obchód jubileuszowy wypadnie wspaniale. Wielka w tem zasługa księdza metropolity Sembratowicza, że sprawę jubileuszu poruszył i skupiwszy około siebie liczne grono Rusinów, żywo zajmuje się uczczeniem rocznicy tej chwili, w której praojcowie Rusinów połączyli się z Kościołem katolickim. Obchód ten doda nowego blasku obrządkowi grecko-katolickiemu.

Komitet pomnika Kościuszki w Rzeszowie rozpoczął swoje urzędowanie od wystosowania do namiestnictwa prośby o pozwolenie zbierania składek na ten cel. Również odniósł się komitet z prośbą o datki na pomnik do rzeszowskich instytucyi finansowych, za rządów gmin okolicznych, rad powiatowych i obywatelstwa okolicznego. Nadto postanowił prosić rzeźbiarzy polskich o nadsyłanie szkiców na pomnik, który ma być wykonany z kamienia a koszta jego wynosić mają 1500 złr. Najlepszy szkic będzie użyty na wzór do budowy pomnika.

Chłopskie rozruchy. W Kropiwniku nowym koło Schodnicy, w powiecie drohobyckim, wybuchły w maju b. r. wielkie rozruchy, których przyczyna była następująca: Kropiwniccy włościanie od szeregu lat paśli nowe bydło za opłatą 80 ct. od sztuki na dworskich pastwiskach, należących do Lindenbaumów i Samuelich z Drohobycza. W bieżącym roku Kropiwnik kupiło amerykańskie Towarzystwo Parkens i Makenthorf i objąwszy go w posiadanie poczęło na gruntach dworskich szukać nafty. Poszukiwania rozpoczęto na pastwisku t. zw. „Huta“, kopano więc na niem jamy i ustawiano przyrządy do wiercenia. Roboty te dały hasło do zaburzeń w całej gminie, bo wieśniacy słuchając podżegań żyda Kelmana Frenkla z Kropiwnika, rzucili się tłumnie na ustawione przyrządy do wiercenia, zniszczyli je i nie pozwolili prowadzić dalszych robót. Nic nie pomogły przedstawienia dworskiej służby, bo chłopi pod żadnym warunkiem nie chcieli ustąpić z pastwiska. Nawet wezwana telegraficznie żandarmerya z Podbuża nie zdołała nakłonić chłopów do ustąpienia z pastwiska, co więcej chłopi zaczęli przybierać nawet groźną postawę i atakować żandarmów i dopiero widząc zwrócone ku sobie lufy karabinów i słysząc groźbę, że żandarmi w razie najmniejszego oporu strzelać rozpoczną, rozeszli się do domów. Zakończeniem tych rozruchów była rozprawa karna, która w dniach 5, 6, i 7 b. m. odbyła się w Samborze. Przed kratkami sądowemi stanęło 61 chłopów z Kropiwnika nowego i dwaj żydzi: szynkarz Reingewürz i wyżej wspomniany Frenkel, wszyscy oskarżeni o zbrodnię zaburzenia pokoju publicznego. Po przeprowadzeniu rozprawy trybunał 51 oskarżonych uznał winnymi i skazał ich na areszt od 7 dni do trzech miesięcy, Frenkla zaś jako podżegacza do owych buntów, skazał sąd na 8 miesięcy więzienia. Po ogłoszeniu wyroku prokurator zgłosił rekurs z powodu niskiego wymiaru kary.

Uczta. Na cześć Polonii amerykańskiej i jej reprezentanta lwowskiego p. Adama Szwajkarta, gospodarza pawilonu polsko-amerykańskiego na wystawie krajowej, który za kilka dni wraca do Chicago, odbyła się w sobotę wieczorem uczta w hotelu „Imperial“, która zgromadziła kilkadziesiąt osób. Szereg toastów rozpoczął p. Tarenkoczy, pijąc na cześć Polonii w Ameryce w ręce jej reprezentanta p. Szwajkarta, dr. Al. Liziewicz pił zdrowie p. Szwajkarta, p. Szwajkart wzniósł zdrowie redaktora *Przeglądu emigracyjnego* dr. St. Kłobukowskiego, który sprawie emigracyjnej oddał znakomite usługi, p. Platon Kostecki wychylił kielich na cześć Polaków w Ameryce, p. Dwernicki na rozwój Tow. handlowo-geograficznego, szereg toastów zakończył dr. Cieselski toastem „Kochajmy się“.

Z Horodenki piszą nam: Staraniem kilku młodych Polek odbyło się tutaj przy licznym udziale mieszczan i ludu nabożeństwo żałobne za ofiary gwałtu w Krożach.

Zjazd młynarzy galicyjskich obradował wczoraj w sali ratuszowej. Wzięło w nim udział około 50 właścicieli młynów i pracowników. Obradom przewodniczył p. Franciszek S c h o f e r, właściciel młyna z Zaszkowa w pow. żółkiewskim; jego zastępcą wybrano p. P a a r a z Jaworowa, sekretarzami pp. S t o r n a i redaktora *Gazety młynarskiej* p. Z K o r o s t e ń s k i e g o. P. Fr. O t o c k i zdał sprawę z czynności doby bezasowego komitetu, poczem dr. Br. D u l ę b a przedłożył zebranym projekt statutu „Związku młynarzy w Galicyi“, którego celem jest w ogólności rozwój młynarstwa krajowego i ochrona jego od obcej przewagi; w szczególności dążenie do udoskonalenia produkcyi i ulepszenia w młynach urządzeń technicznych i gospodarczych, popieranie handlu produktami młynarskiemi i wpływanie na politykę taryfową dla zwalczenia obcej konkurencyi w handlu młynarskim, rozbudzenie ducha łączności między stowarzyszonymi i zjednoczenie ich z uwzględnieniem wspólnych potrzeb intelektualnych i materyalnych, zastępywanie interesów młynarstwa krajowego wobec władz państwo

---

7)

ZAGRZEBANI

POWIEŚĆ

przez Klemensa Junoszę.

(Ciąg dalszy).

— Więc mówisz, że to sprawa do wygrania?

— Nie mówię, ale nie twierdzę też, żeby miała być nic nie warta. Otóż postaw Szwabom warunek, żeby twoje prawa nabyli: że bez tego majątku nie sprzedasz Żądaj sumy znacznej; powiedz, niech sprowadzą sobie adwokata, iżby rozpatrzył papiery. Paktuj, zwlekaj, dopóki się Szwabom nie sprzykrzy i dopóki innego majątku nie znajdą.

— Słusznie mówisz Symplicyuszu! jak cię kocham! słusznie. Już to wiadoma rzecz, że do rady, tyś człowiek jedyny... Na antykach nie znasz się, to prawda — ale do interesu głowę masz.

— Pochlebiasz mi zanadto.

— Właśnie że nie — nawet, szczerze mówiąc, marzyłem o tobie i pragnąłem, abyś jak najprędzej przyjechał.

— A cóż tam?

— Chciałem — bo i z chłopami ukończyć i tę przeklętą sprawę z Gapcewiczem, na dobrą drogę wprowadzić. — Adwokat, proszę cię! pisze mi, że wszystko dobrze idzie — żeśmy w pierwszej instancyi wygrali, ale Gapcewicz apelował i podobno ma zamiar wlec nas przez wszystkie instancye. Takim sposobem można jeszcze długo oczekiwać na rezultat...

— Rozpatrzy się to, kochany panie Mikołaju! — rozpatrzy! — mamy czas, chciałbym przynajmniej tydzień przesiedzieć tu, w Maciejowie.

— A! mój Symplicyuszu! tej mi krzywdy nie zrobisz. Cóż to znaczy tydzień? — Tyle czasu nie widzieliśmy się — a starzy jesteśmy oba — możemy się więcej nie zobaczyć... posiedzisz więc bracie! posiedzisz! Stancyjka dla ciebie na górze gotowa, — konia ci spasę, że będzie gruby, jak baryła... tylko o odjeździe nie gadaj! nie gadaj! i siedź!...

— No! dobrze to jest, mój panie Mikołaju.. zobaczymy zresztą — powiedz mi wszakże naprzód, gdzie są twoje dzieci, pan Karol, i pani Lucyna?

— Są w domu, jak zwykle.

— Karol zapewne w polu?...

— Ale gdzież tam!

— Cóż więc robi?

— Jak obecnie, spi...

Jajko na zegarek spojrzał.

— Dziwi cię to? rzekł pan Mikołaj smutnie — i mnie dziwiło z początku — ale z czasem, przyzwyczaiłem się.

— Istotnie, do dziesiątej spać, na wsi! — dalibóg! to sztuka..

— W samej rzeczy! już ja bym nie potrafił. U mnie, to proszę, byle dzień się zrobił, sen z powiek ucieka.

— Czy i pani Lucyna równie długo lubi wypoczywać?

— A! nie! Lucynka tem się od Karola różni, że ma zwyczaj sypiać znacznie dłużej, niż on... Trudno go, proszę cię! mieć apetyt, jak się prawie prosto z łóżka do objadu przychodzi.

— A powiedz-że mi, panie Mikołaju, cóż oni robią nocami? boć przecież dwadzieścia cztery godzin przespać, nie sposób.

— Rozmaicie! Ja tam, co prawda, nie wiem, bo zaraz po kolacyi spać idę, ale panna Weronika powiada: to pan Karol czyta książki i gazety ziewając, a jego pani siostra brzdąka na fortepianie i także ziewa. Utyskują przytem na swoje losy, na mnie, że majątku sprzedać nie chcę, a skutkiem tego oni tu marnują się i więdną — zagrzebani!

— Zagrzebani? Cóż to znaczy?

— Ha! spytaj się ich sam, bo ja nie wiem. Zagrzebani — i dosyć, ale koniec końcem, ja majątek trzymam. Po mojej śmierci niech sobie robią co chcą.

Pan Symplicyusz zamyślił się. Wydobył z kieszeni krótką swoją fajeczkę i nakładać ją zaczął; gospodarz zaś wsparł głowę na ręku i zadumał się ciężko. Nagle myśl mu jakaś błysnęła. Zerwał się z krzesła, rękę na ramieniu gościa położył i rzekł:

— Słuchajno! Symplicyuszu!... Zdaje mi się, że wspomniałeś mi kiedyś, iż za młodu do realnych szkół uczęszczałeś?

— Tak!

— I że podobno matematykę dobrze znasz.

— Na swoją potrzebę dość.

— Założyłbym się, że was tam i mechaniki uczono.

— Troszeczkę

— No! więc byłbyś moim nieprzyjacielem, gdybyś mi nie dopomógł zreperować kukułki.

— Ha! ha! ależ nie jestem zegarmistrzem.

— To nic! powiadam ci, że nie święci garnki lepią. W ostatnim razie, gdy będziemy mieli jaką wątpliwość, przywołamy młynarza. Sprytny to majster! Koło, papszycę, zastawki, wyrysuje ci, jak najlepszy inżynier, a przytem i majstrowaty jest. Młocarnię mi kiedyś zreperował doskonale.

— A no! kiedy taki majster, to go jegomość zawołaj! niech reparuje, a raczej niech probuje, może mu się uda.

— A ty Symplicyuszu, nie chcesz?

— Cóż ja? nie jestem zegarmistrzem, jak żyję nie miałem z takiemi rzeczami do czynienia.

— Nie przeczę, lecz masz teoryę, a młynarz posiada tylko praktykę, weźcie się obadwaj... i ja także swoim konceptem w pomoc przyjdę; bo uważasz kochany Symplicyuszu, takiego antyka szkoda, niepowetowana szkoda! Niedawno nieboszczyk ksiądz Szarogrodzki dawał mi za niego pięćset złotych jak jeden grosz, pięćset złotych mi dawał!

— Co też jegomość mówisz?! Nieboszczyk Szarogrodzki umarł przed ośmnastu laty, a oto powiadasz, że niedawno.

— Zapewne, że niedawno. Cóż to, głupie ośmnaście lat to wieczność? Dawał, dawał, jak cię kocham, dawał, ale ja nawet słuchać nie chciałem.

— To szkoda!

— Szkoda, albo i nie szkoda — a ja ci mówię, nie marudź. Chodźmy do zegaru, chodźmy!...

— Kiedy chcesz koniecznie, to idę.. ale jeżeli prawdę mam powiedzieć, to wolałbym...

— Cóż? cóż?

— Wolałbym rozejrzeć się w sprawie z Gapcewiczem, albo też w aktach procesu z kapitułą.

— Będzie na to czas, powiadam ci kochany Symplicyuszu! że będzie na to czas. Po obiedzie, w chińskim domku, przy buteleczce, przy cygarku, rozpatrzymy się, rozgadamy, rozważać będziemy, choćby do nocy. Cóż? zgoda!

— No zgoda! zgoda! — panie Mikołaju!...

— Chodźmyż więc, bo kukułka pilniejsza!...

Pan Mikołaj wziął gościa pod ramię i prowadził do zepsutej kukułki, mówiąc:

— Bo to, uważasz Symplicyuszu! ja ten natyk nabyłem przypadkiem.... na licytacyi po księdzu z Zapłocia.. Żydzi dawali tylko pięć złotych, ja postąpiłem do rubla — i oto, od lat trzydziestu, jestem w posiadaniu tego cennego zabytku... nawet źle mówię „cennego“, gdyż właściwie jest to nieoceniony, nieoszacowany egzemplarz. W Gdańsku tysiące daliby za niego... Tam są jeszcze znawcy!..

ROZDZIAŁ IV.

W którym jest mowa o pięknej pani Lucynie, — bladym panu Karolu, oraz o gorzkich żalach panny Weroniki.

Zaledwie pan Mikołaj z Symplicyuszem odeszli, we drzwiach stołowego pokoju ukazała się osoba, ubrana w biały elegancki negliż, obszyty koronkami i kokardami. Na głowie miała czepeczek, z pod którego wymykały się jasne, blond włosy; z szerokich rękawów kaftanika widać było ręce białe i kształtne, a z pod fałdów spodnicy wychylała się nóżka, obuta w zgrabny pantofelek..

Przejrzała się w lustrze, poprawiła włosy, a widząc, że nikt na nią nie patrzy, ziewnęła raz i drugi — jak istota, której od dawna życie zbrzydło.

Przeszła kilkakrotnie przez pokój ruchem leniwej kotki, jeszcze raz przejrzała się w lustrze, jeszcze ziewnęła serdecznie i usiadłszy przy stole, zaczęła dzwonić łyżeczką w pustą szklankę.

Na ten odgłos wbiegła panna Weronika...

(Ciąg dalszy nastąpi).

wych i krajowych. Statut ten przyjęto w całości z kilku mniejszej wagi poprawkami p. Paara, a referentowi i autorowi statutu p. Dulębie wyrażone podziękowanie przez powstanie z miejsc.

Na wniosek komisyi, przedłożony przez dra Niementowskiego oznaczono wkładki w następującej wysokości: dla członków wspierających wpisowe 2 zł. i wkładka roczna 6 zł., dla członków właścicieli młynów amerykańskich wpisowe 2 zł., wkładka 12 zł., dla członków właścicieli młynów wodnych wpisowe 1 zł., wkładka roczna 6 zł., dla członków uczestników wpisowe 1 korona, wkładka roczna 2 zł. Do zarządu tymczasowego wybrano pp. A. Szanera, K. Włodzimirskiego, dr. Niementowskiego, Fr. Schofera, Ad. Boryss, J. Bielawskiego, J. Durkacza, Fr. Otockiego, J. Franza, J. Karpa, Edm. Ziembickiego i F. Paara. Przewodniczącym tymczasowego zarządu wybrano p. Schofera, zastępcą p. K. Włodzimirskiego. Na tem obrady zakończono.

Nowy związek, w którym do wspólnej i zgodnej pracy połączyli się właściciele młynów i ich pracownicy może oddać wielkie usługi naszemu przemysłowi młynarskiemu, podnieść go i uczynić silnym do wytrzymania konkurencyi z młynami węgierskimi, które nas zarzucają swą mąką. Energiczna, wspólna praca może wydać błogie owoce, nowemu więc związkowi życzymy „Szczęść Boże!“

Zgromadzenie obywateli trzeciej dzielnicy odbyło się w sobotę wieczorem w sali ratuszowej. Jak wiadomo, celem tego zgromadzenia było obmyślenie środków podniesienia tej przez zarząd miasta prawdziwie po macoszemu traktowanej dzielnicy, przedewszystkiem zaś niedopuszczenia do tego, żeby ów wał kolejowy, oddzielający przedmieście żółkiewskie od reszty miasta, pozostał nadal, albo żeby na nim wybudowano drugi tor, jak to dyrekcya kolei państwowych uczynić zamierza, gdyż to zadecydowałoby raz na zawsze o upadku tej dzielnicy.

Obradom przewodniczył dr. Weigel i udzielił głosu drowi Stroynowskiemu, który wybrany został przez radę miejską do komisyi, mającej reprezentować gminę przy reambulacyi trasy drugiego toru, mającej się odbyć 21 bm. Dr. Stroynowski zapewnił, że komisya ta starać się będzie gorąco uzyskać jak najwięcej dla dzielnicy trzeciej. Trudności jednak są ogromne, a walka będzie trudną, mamy bowiem do czynienia nie z przedsiębiorstwem prywatnem, lecz z koleją państwową, która tę sprawę chce załatwić bardzo pospiesznie i podobno już w kwietniu chce zacząć budowę drugiego toru. Żądania obywateli trzeciej dzielnicy są zupełnie słuszne. Nie ma ona ani jednej szkoły średniej, a niektóre jej części są kompletnie zrujnowane przez to, że tak fatalnie wybrano trasę na linię kolejową z dworca głównego do Podzamcza. I tak część ulicy Zamkowej, począwszy od ogrodu tak zwanego „pod Sroką“, aż do ulicy Kąpielowej jest zupełnie zrujnowaną, ponieważ nie ma ona absolutnie żadnej komunikacyi z miastem, a chociaż od głównej arteryi, tj. od ulicy Żółkiewskiej, oddaloną jest zaledwie o kilkadziesiąt kroków, to jednak do niej dostać się nie można, gdyż środkiem wybudowano kolej, a nie porobiono nawet żadnych mostków ani ramp. W ten sposób zniszczono pięć ulic. Właściciele domów, położonych przy tych ulicach, byli przed wybudowaniem kolei zamożnymi ludźmi, a dziś są nędzarzami, gdyż całego domu z ogrodem nawet za 10 zł. miesięcznie wynająć nie mogą. Żądanie mieszkańców przedmieścia żółkiewskiego, żeby cały tor kolejowy przeniesiono za rogatki, jest bez wątpienia słuszne, wszelako mówca nie ma nadziei, aby to można uzyskać. Ale starać się będzie komisya przynajmniej o to, żeby w istniejącym już torze uzyskać wszelkie możliwe ułatwienia. Główną zaporą komunikacyi jest nieszczęsna rampa przy ulicy Żółkiewskiej, która przez kilka godzin dziennie uniemożliwia wprost wszelką komunikacyę. Otóż z tą rampą trzeba koniecznie coś zrobić. W jaki sposób można to uzyskać, czy przez pogłębienie ulicy Żółkiewskiej, czy też w inny sposób, to jest rzeczą inżynierów; komisya jednak koniecznie domagać się będzie, aby coś z tą rampą zrobiono. Starać się będzie także o to, żeby, począwszy od tej rampy, aż do ulicy Kleparowskiej pobudowano arkady i wiadukty.

Architekt p. Kowalczuk zwrócił uwagę na to, że przeniesienie całej linii po za rogatki napotka już z tego względu na ogromne trudności, że budowa drugiego toru nie będzie wcale połączona z wykupnem gruntów. Natomiast z całym naciskiem należy żądać utworzenie arkad i wiaduktów.

P. Jul. Lewicki w półtoragodzinnej mowie wykazywał, co należałoby zrobić dla dzielnicy żółkiewskiej. Mówcy nie trafia do przekonania argument Dra Stroynowskiego jakoby z koleją państwową sprawa była trudniejsza aniżeli z przedsiębiorstwem prywatnem. Przeciwnie co przedsiębiorstwo prywatne nie może zrobić, to państwo zrobić powinno dla dobra ogółu. Dla tego też jest mówca za tem, ażeby domagać się przeniesienia linii kolejowej za rogatki. Następnie wykazywał p. Lewicki, że miasto, które dotychczas nic dla podniesienia żółkiewskiego nie robiło, powinno pożyczki inwestycyjnej w przeważnej części użyć na naprawienie krzywdy, jaka się temu przedmieściu dzieje. Rada miejska a zwłaszcza jej sekcye nie są łaskawe dla przedmieścia tego i ilekroć obywatel z Żółkiewskiego przyjdzie z jakąś prośbą, to dają mu ironiczną odpowiedź: „Musimy naprzód inne dzielnice uregulować, na Żółkiewską będzie czas jeszcze i za kilkanaście lat“. — Wobec tego, że ojcowie miasta takie uczucia żywią, należy koniecznie wybrać delegacyę, któraby miała wpływ w radzie i pracowała nad rozwojem tej dzielnicy. — Wszystkie inne przedmieścia mają plantacye, tylko na Żółkiewskiem ich nie ma, a nawet zabrano przez kolej jedyny przystęp jaki był do Wysokiego Zamku. Nakryto Pełtew tam, gdzie płynęła prawie czysta woda, na Żółkiewskim zaś, gdzie Pełtew zawiera już nieczystości z całego miasta, o nakryciu jej nikt nie myśli. — To też jako dalszy postulat obywateli III dzielnicy stawia mówca nakrycie Pełtwi, zburzenie kilku domów na placu Gołuchowskich i przebicie ulicy Karola Ludwika aż ku wzgórzom kleparowskiem, o czem pisaliśmy szczegółowo przed kilku dniami.

Wnioski p. Lewickiego przyjęto, a do delegacyi proponowanej przezeń wybrano jako mężów zaufania dzielnicy III pp. Szeligę Łyszkiewicza, br. Gostkowskiego, Lickendorfa, Marynowskiego, Dr. Weigla, Jägermanna, Lewickiego, Kowalczuka i Blumenfelda.

Delegatem na ogólne zgromadzenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego wybrano w Dobromilu p. Pawła Tyszkowskiego, zastępcą dra Stanisława Nowosielskiego; w Rzeszowie delegatem wybrano p. Edwarda Jędrzejowicza, zastępcą p. Józefa Wiktora.

Konsulem austro-węgierskim w Warszawie mianowany p. Istvan Ugron, dotychczasowy wicekonsul w Nowym Jorku.

Niewypłacalność ogłosili pp. Górny i Pilarski, właściciele drogueryi we Lwowie.

„Szczekać po niemiecku“. Pewien kupiec w Poznańskiem, Polak, chciał nawiązać stosunki z jednym z kupców niemieckich i w tym celu wypisał do niego list po niemiecku. W kilka dni otrzymał od owego Niemca następującą odpowiedź: „Wie schön deutsch die Bande kann! deutsch bellen können die Hunde, wenn Sie nach deutschen Brocken schnappen. (Jak pięknie ta kanalia umie po niemiecku! Szczekać po niemiecku potrafią te psy, gdy im chodzi o kęsy niemieckie). Nie wiedzieć doprawdy, co więcej podziwiać w tym liście wykwintnego człowieka: czy polakożerczość, czy też lekceważenie dla własnego języka“.

Wydział krajowy zatwierdził na dzisiejszej sesyi oferty wniesione na dzierżawę krajowych opłat konsumcyjnych w następujących powiatach: Bochnia, Kolbuszowa, Tarnopol, Łańcut w okręgu sądowym: Skole.

Nadto zatwierdził Wydział krajowy układ z gminą miasta Lwowa co do poboru opłat konsumcyjnych w obrębie miejskim i w gminie Zniesienie.

Poszukuję się macochy! W pewnem piśmie niemieckiem pojawił się następujący anons, prawdziwie „schyłkowy“: „Poszukuję dla mojego papy, który ma lat około 40 i jest od dziesięciu lat wdowcem, odpowiedniej żony. Mój papa jest człowiekiem sympatycznym, eleganckim i zajmującym znaczne stanowisko w towarzystwie. Ponieważ jest dość też zamożny, nie potrzebuje wcale zważać na posag, główna rzecz leży w tem, aby żona jego wyróżniała się wykształceniem, powierzchownością i słodyczą charakteru. Listy nadsyłać pod adresem „Poufałość“ do biura ogłoszeń“.

Jeden z feljetonistów wiedeńskich Przytoczywszy ten oryginalny anons, kreśli następujący obrazek: Anons ten pozwala dość jasno przejrzeć sytuacyę. Autorką jego jest młoda panienka, może dwudziestoletnia, która troszeczkę za seryo patrzy się w przyszłość. Musi jednak sama o tem myśleć, bo papa jest „sympatyczny, elegancki i zamożny...“ to dużo mówi! Prawdopodobnie papa czuje jeszcze chwilami krew w żyłach i różowo traktować musi rozmaite kwestye. Zapomina przytem, że czas byłby już obejrzeć się za odpowiednim... zięciem. W kąpielach morskich, na sali balowej, na ślizgawce i w innych okazyach, gdzie papa powinienby pamiętać o swoich obowiązkach, aby pokazać, że jest nietylko lowelasem, ale także ojcem, zostawia córeczkę opatrzności boskiej. Dziewczątko jednak dumne jest z pewnością ze swego zachwycającego papy. Życzy mu nawet powodzenia w jego zdobyczach i awanturkach miłosnych, obawia się tylko, ażeby przytem o niej zupełnie nie zapomniano. A ponieważ papa nie ma tyle czasu, ażeby postarać się o czepeczek dla córki, cóż jej pozostaje innego, jak samej energicznie postarać się o ten perkalikowy klejnot? Jako szerokiego zakroju dyplomatka, myśli oczywiście najpierw o tem, aby papę zaprządz w jarzmo małżeńskie. A gdy jej się poszczęści znaleść damę, która będzie dla niego kochającą żoną, dla niej zaś drugą mamusią, wtedy może sprawę posunąć znowu o jeden krok naprzód. Obie panie, macocha i córka, nie różnią się wcale albo tylko bardzo nieznacznie co do wieku, porozumieją się z największym spokojem i życzliwością w kwestyi przyszłego zięcia. Druga mama da w tej mierze inicyatywę, papa pozwoli, a córka rumieniąc się, ze słodyczą spuści oko ku ziemi, w chwili, gdy się zbliży mąż, który jej będzie pożądał. Na razie jednak, wracając od tych różowych marzeń do rzeczywistości, zapytuje siebie w duchu, jaką minę zrobi papa, gdy mu pokaże cały stos listów, które z pewnością przyjdą w odpowiedzi na jej anons.

Stan powietrza. T. o 8 rano — 3° R. w pol. 0° R. Bar. 772. Idzie w górę. Pochmurno.

Aforyzmy.

Podobaj się ludziom, a i oni będą ci się podobali.

Charakter jest to doskonała równowaga serca i rozumu.

Wielu oduczyło się rumienić, ale nikt podobno rumienić się nie nauczył.

Zacna dusza

— Łaskawy panie! Jestem w potrzebie, pożycz mi 1000 guldenów.

— Nie mogę.

— Dla czego? Toć pan masz pieniądze.

— Tak, mam, ale niepodobna mi się z nimi rozstać: To najdroższa pamiątka po moim ojcu.

Teatr. Dziś w poniedziałek „Jak się wam podoba“, komedya w 4 aktach W. Szekspira, występ pani H. Modrzejewskiej. We wtorek „Flirt“, komedya w 4 aktach Michała Bałuckiego, z panią Stachowicz w głównej roli. We środę „Marya Stuart“. We czwartek „Panna mężatka“.

Pani Helena Modrzejewska kończy już wkrótce swoje gościnne występy na scenie skarbkowskiej. Na czwartek naznaczono śliczną komedyę Korzeniowskiego p. t. „Panna mężatka“. Rolę Cecylii odegra p. Modrzejewska. Ze względu na występ znakomitej artystki i na sztukę oryginalną bardzo przystępną dla wszystkich sfer publiczności, napływają liczne zamówienia na bilety do kasy teatru. Rozdano rolę z komedyi Paillerona pt. „Komedyanci“ (Les Cabotins). Nadto czynią się wielkie przygotowania do wystawienia głośnej komedyi Sardou pt. „Madame sans Gêne“.

Literatura i Sztuka.

* **Technisches Compendium**, Handbuch für Industrielle, Gewerbetreibende, Fabriksleiter, Techniker, Betriebsbeamte, Monteure und Maschinisten. Herausgegeben von Rudolf Schwarz. Wien III, Reisnerstrasse 71. I. Theil, mit 728 Druckseiten und 3371 Abbildungen. — Jestto właściwie katalog, ale katalog tak ułożony, że wartością daleko sięga poza granice tego rodzaju wydawnictw i wkracza już w zakres podręczników przemysłowych. Przy każdym artykule oprócz jego opisu, ceny, zastosowania, są rady i przepisy, jak się z nim obchodzić. Przedmowa napisana jest w dziesięciu językach, a w tej liczbie i po polsku.

O bogactwie treści tego „Compendium“ daje najlepsze wyobrażenie to, że mieści się w niem przeszło trzy tysiące rycin, a więc znajdują się opisane prawie wszystkie przedmioty, wchodzące w zakres mechaniki, ślusarstwa, ludwisarstwa, kołodziejstwa, ciesielstwa, budownictwa itd. Komu zaś ono przydać się może?... Nam się zdaje, że każdemu, kto ma jakikolwiek stosunek z techniką, musi kupować jakieś maszyny, piece, studnie, pompy, kotły, pasy transmisyjne, młynki, młyny itd.

Głosy publiczności.

Z Rozdołu nam piszą: Od pewnego czasu panuje w miasteczku naszem i w okolicy cholera, pochłaniającą wiele ofiar przeważnie z klasy najuboższej. Celem zaradzenia choć w części złemu, zawiązał się komitet ratunkowy, na czele którego stanął p. Trojan, pełnomocnik hr. Karola Lanckorońskiego, i gorliwie zajął się całą sprawą urządziwszy na koszt hrabiego w Rozdole i w Brzeznicie herbaciarnę. W tej herbaciarni, wydaje się dwa razy dziennie przeszło 1500 porcyi herbaty, i po kawałku chleba ubogim mieszkańcom, bez względu na wyznanie i obrządek. Nadto jest w projekcie obdzielać potrzebnych raz na dzień ciepłą strawą. Jest to zdaniem lekarzy najskuteczniejszy środek, zapobiegnięcia groźnej zarazie, co się ostatecznie okazało prawdą, gdyż choroba aczkolwiek powoli, lecz się zmniejsza. Nie pierwszy to i pewno nie ostatni humanitarny czyn hr. Karola Lanckorońskiego. Czy powódź, która nas rok rocznie nawiedza, czy głód lub pożar, on pierwszy, spieszy z doraźną pomocą i hojną ręką pomaga potrzebnym. Poczuwamy się przeto do miłego obowiązku wyrazić wspaniałomyślnemu i szlachetnemu dawcy, imieniem tutejszej ubogiej ludności szczere podziękowanie szlą Mu serdeczne „Bóg zapłać“. Komitet ratunkowy *Ks. Bronisław Terpiński*, przeor OO. Karmelitów w Rozdole. *Ks. Atanazy Jurkiewicz*, gr. kat. proboszcz i kanonik przewodniczący komitetu. *Kazimierz Pilc.*

Rozmaitości.

— **W wagonie.** Mam dwadzieścia trzeci rok i nie należę do nerwowych panien z końca dziewiętnastego stulecia. Mieszkam z rodzicami w małem miasteczku pod Londynem. Kilka miesięcy temu zaprosił mnie mój dziadek do siebie do Dublina. Chociaż już nieraz podróżowałam, mama nie chciała mnie puścić samej; ale ja sobie nie dałam nic mówić. No, i wreszcie mama przystała na to, żebym jechała sama, ale dniem. To mi się znów wydało marnotrawstwem czasu. Nocą jadąc, można spać. Mama westchnęła tylko, ale nie mogąc się oprzeć moim prośbom, dała mi pozwolenie. Rodzice odprowadzili mnie na dworzec.

— Wsiądź do przedziału dla pań — powiedział ojciec.

Ale ja oburzyłam się, mówiąc:

— Cóż mnie ojczulek ma za takiego tchórza!

I z temi słowami wsiadłam do przedziału, w którym się właśnie dwaj starzy panowie usadowili.

Ojciec dał mi kilka dzienników wieczornych, a prócz tego w torebce podróżnej miałam tom nowel i lampkę, którą można przymocowywać do ramy okna wagonowego. Nie obawiałam się więc nudów. W minutę potem, sycząc parą, ruszył pociąg z przed peronu. Zajrzałam do dzienników: nie było w nich nic zajmującego. Zaczęłam następnie przyglądać się moim towarzyszom. Jeden z nich, otyły jegomość, owinął się szalem i zasnął słodko. Drugi musiał się zaziębić, gdyż naprzemian to pokaszliwał, to ocierał nos z wielkim hałasem. Pociąg pospieszny pędził szybko, a regularne wstrząśnienia uśpiły mnie wreszcie. Nagłe uderzenie obudziło mnie. Pociąg stanął na stacyi w Chester. Moi towarzysze zbierali swoje manatki, wysiadając na tej stacyi.

Jeden, to jest ten właśnie, który miał katar, powiedział do mnie:

— Jeżeli pani dalej jedzie, to tu może się pani napić herbaty. Jest dziesięć minut czasu.

Podziękowałam mu i udałam się do restauracyi, aby pójść za jego radą. Kiedym powróciła do mego przedziału, zastałam w nim jakiegoś pana w długim płaszczu, z kapeluszem nasuniętym na czoło i w szalu okręconym około szyi, tak iż mu pół twarzy zasłaniał. Zaledwo pociąg wyjechał poza stacyę, mój towarzysz zrzucił płaszcz i wyplątał się ze szala. Złożył go starannie i schował do kuferka. Ujrzałam przed sobą eleganckiego człowieka, mogącego mieć dwadzieścia ośm lat. Miał sute, podkręcone wąsy, strzyżoną brodę i czarne przenikliwe oczy. Kiedym rzuciła na niego okiem, zauważyłam, że on mi się przygląda.

— Cóż, Wirginio — powiedziałam sobie — boisz się, czy nie? Czemużby mężczyzna nie miał patrzeć na pannę, skoro mu się ona podoba? Przecież stara piosnka powiada, że wolno kotowi patrzeć na króla. Wyobraźmy więc sobie, że mój towarzysz jest kotem, i że ja jestem królewską mością. Niechże więc na niego patrzy kot, ile mu się podoba; król sobie z tego nic a nic nie będzie robił.

Przytwierdziłam lampkę do okna, zapaliłam ją i właśnie chciałam zabrać się do nieporozcinanego tomu nowel, kiedy nieznajomy się odezwał:

— Czy pani pozwoli otworzyć okno?

— Bardzo proszę — odparłam, przyczem skinęłam głową z lekka, co miało tyle znaczyć, co, aby kot w przyzwoitej odległości się trzymał, poczem zatopiłam się w swej książce.

Pociąg tymczasem pędził z szaloną szybkością i czułam, jak pęd powietrza wdzierał się przez otwarte okno, co mi było trochę nieprzyjemnem. Podniosłam głowę, chcąc właśnie poprosić mego towarzysza, aby zamknął okno, gdy przedstawił mi się widok, który mi krew w żyłach zmroził. Podróżny z kufereczka swego wydobył nożyce i brzytwę. Otworzywszy brzytwę, ostrzył ją na pasku, który przymocował do guzika u okna. Nasze oczy spotkały się, a on uśmiechnął się dziko. Zamknęłam książkę i siedziałam ze złożonemi rękami; serce biło mi gwałtownie. Światło mej lampki padało na mnie, zwróciłam się ku oknu i zdmuchnęłam ją.

— Będę pani bardzo obowiązanym, jeżeli pani lampkę znowu zapali — powiedział obcy. — Niech pani to natychmiast uczyni... nie ma czasu do stracenia.

— Nie rozumiem pana — odparłam.

Usiłowałam stłumić w swym głosie wszelki ślad trwożliwości, ale czułam, jakby mnie coś za szyję ściskało.

— Widzę, że pani jest przerażona — odezwał się obcy — nie dziwię się, bo na pani miejscu nie lepiejbym się czuł. Jest pani sam na sam w wagonie kolejowym z człowiekiem, który gdyby mu przyszła ochota, mógłby panią zadusić i wyrzucić przez okno. O nie, nie, niech pani będzie łaskawa pozostawić w spokoju sygnał alarmowy, nie spuszczam go z oka. Powiem pani otwarcie, żem umyślnie wybrał ten przedział, aby jechać w towarzystwie pani. Do Holyhead mamy jeszcze kawał drogi, a przez całe dwie godziny pociąg nasz się nie zatrzyma. Widzi więc pani, że mam ją zupełnie w swej mocy. Jedyny sposób uniknięcia niebezpieczeństwa jest to, aby pani wszystko robiła, czego od pani zażądam.

Mówił to tonem rozkazującym, a przytem przesiadł się naprzeciwko mnie.

— Niech pani zapali lampę — dodał.

Usłuchałam bez wahania. On wziął lampkę z moich rąk i przymocował do drewnianej ramy środkowego siedzenia.

— Tak lepiej świeci — mówił przytem — a w przedziale jakoś przyjemniej... A teraz proszę uważać na mnie. Klękam przed panią, proszę spojrzeć mi w twarz. Czy pani dobrze ją widzi?

— Tak — odpowiedziałam.

— Mam gęstą brodę, nieprawdaż?

— Tak.

— Widzi pani te nożyce?

— Tak.

— I tę brzytwę?

— Tak.

— To śmiertelna broń — co?

— Możnaby tem zabić istotnie — wyjąkałam drżącym głosem.

— Naturalnie, że możnaby tem zabić i zapewneby się zabiło, gdyby pewna młoda panna nie miała zamiaru jak najściślej spełnić tego, czego się od niej zażąda. Godzina czynu wybiła — proszę zdjąć rękawiczki.

Zawahałam się.

— Proszę zdjąć rękawiczki — powtórzył z mocą nieznajomy mężczyzna, tak, że w mgnieniu oka obnażyłam ręce.

— Niech pani zaczyna.

— Co takiego?

— Proszę nie grać roli naiwnej i ostrzydz mi wąsy.

Cofnęłam się, jąkając:

— Ależ nie wiem jak się to robi!

— Ja zaraz panią nauczę.

— A to jakim sposobem?

— Takim, że podostrzę trochę brzytwę. Zrozumiała pani? Proszę więc zaczynać.

Ukląkł przedemną tak, że światło lampy padało mu prosto na twarz, podał mi nożyczki. Rozpoczęłam robotę, a Bóg jeden chyba wie, jakim sposobem jej dokończyłam.

— Teraz proszę mi całkiem krótko ostrzydz brodę, bo będzie mnie pani musiała ogolić.

— Będzie to dla pana trochę niebezpiecznem — odważyłam się zauważyć.

— Nie boję się. Pani będzie uważać. Czy skończyła już pani z wąsami?

— Już!..

— A teraz brodę.

— Zdawało mi się, że jego oczy bazyliszkowe przeszywają mnie... Kiedym dokonała operacyi strzyżenia, mój towarzysz wydobył z kuferka miseczkę, mydło i flaszeczkę z wodą. Rozrobił mydło, natarł sobie niem brodę i wąsy a potem kazał mi siebie ogolić. Byłam jak złamana i bez słowa protestu zrobiłam, co kazał. Na szczęście raz czy dwa razy dla żartu ogoliłam kiedyś mego brata, który mnie nauczył, jak się z brzytwą obchodzić. Mimo wstrząśnień wagonu i rozstroju moich nerwów, dokonałam dzieła wybornie, byłam dumna niemal z wyniku. Broda i wargi nieznajomego były tak gładkie, jak u małego dziecięcia. Kiedym już była z tem gotowa, nieznajomy, któregom ledwo poznała, zebrał przybory, pozbierał włosy starannie, zawinął je w papierek i wyrzucił przez okno, które potem zamknął, każąc mi zgasić lampę. Posłuchałam drżąca i trzęsąca się, cała wcisnęłam się do mego kąta.

— Jeszcze jedno ma pani dla mnie do zrobienia — powiedział.

— Jest więc jeszcze coś? — wyjąknęłam.

— Tak — odpowiedział — niech się pani odwróci i patrzy przez okno. Pod żadnym warunkiem nie wolno oglądać się pani, dopóki na to nie pozwolę. Inaczej zginie pani z mej ręki.

Przycisnęłam twarz do okna wagonu i patrzałam poza nie w czarną noc. Szyja mi zesztywniała, a serce zdawało się, że mi pęknie. Czułam, że w tym krótkim kawałku czasu przeżyłam całe życie. Słyszałam szmer poruszeń obcego. Czy to waryat jakiś? Zapewne, nie co innego, jak waryat. Czy mnie zamorduje? Czy ten pociąg nigdy nie dojedzie do stacyi? Czy ta straszliwa noc nigdy się nie skończy?

Nareszcie, nareszcie — Bogu dzięki! — czuję jak pociąg zwalnia bieg. W tej chwili mój towarzysz przemówił znowu do mnie:

— Może się teraz pani odwrócić — powiedział. Odwróciłam się z ciekawością. Mimowolnie krzyknęłam głośno ze zdziwienia. Obcy przepoczwarzył się zupełnie. Stary jakiś pastor w sutannie siedział w długim kącie przedziału. Z pod kapelusza wyglądały siwiuteńkie włosy, brwi także były siwe. Twarz gładziutko była ogolona. Pociąg wtoczył się przed peron. Pastor otworzył drzwiczki wagonu. Z pełnym wdzięku ruchem zdjął kapelusz:

— *Benedicite* — powiedział z namaszczeniem. Nie ujrzałam go już więcej. W chwilę potem zbliżyło się do drzwi dwóch ajentów tajnych, dopytując się mnie, czy sama jedna jechałam i czym nie miała towarzysza o czarnych wąsach i brodzie. Byłam tak oszołomiona, żem nie mogła im nic odpowiedzieć. Ale nie zdaje mi się, aby mego staruszka pastora schwytano.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 17 listopada.

(Z) Banki tutejsze uznały widocznie, że należy koniecznie położyć pewną tamę niesłychanie rozwiniętej spekulacyi giełdowej, jeżeli się chce uniknąć nieszczęścia. Jakoż okazały się dziś ogromnie wstrzemięźliwe w użyczaniu gotówki na spekulacyę giełdową w następnych tygodniach i podniosły znacznie opłatę t. zw. reportu, t. z. należytości za lombardowanie fikcyjnie kupionych walorów, a na niektóre, zwłaszcza węgierskie walory przemysłowe, wcale nic pożyczać nie chciały. W ten sposób owa najliczniejsza rzesza spekulantów, grających kilkuset lub kilku tysiącami guldenów, musiała dziś sprzedawać swoje walory, co wywołało zniżkę na całej linii. Tylko targ rent i papierów lokacyjnych nie był tą zniżką dotknięty, przeciwnie obie renty koronne podniosły się. Złoto z Rosyi napływa wciąż do Berlina i Londynu. Do banku niemieckiego wpłynąć miało ostatnimi czasy za 40 milionów marek, a do banku angielskiego za 800.000 funtów szterlingów. Złoto to przeznaczone jest podobno na wypłatę styczniowego kuponu od walorów rosyjskich. Na uwagę zasługuje to, że 4% austryacką rentę koronną zamknięto dziś kursem wyższym, aniżeli 4·2%wą rentę wspólną.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 392·80, węgierskie 496·50, Anglobanki 178·—, Uniony 303·—, Bankvereiny 150·—, Länderbanki 278·50, Ludwiki 216·80, Czerniowieckie 288·50, Elbetalne 275·—, Renta papierowa 100·—, srebrna 99·95, austryacka złota 124·70 4% austr. renta wal. kor. 100·25, węgierska złota 123·40, 4% węgierska renta wal. kor. 97·80, dukat 5·91—, 20-frankówka 9·93—, marki 12·22—, ruble 1·36½.

§ **Dyrekcya ruchu** kolei państwowych we Lwowie donosi: Szlak Stanisławów, Woronienka oddany będzie dla publicznego ruchu w dniu 20 listopada 1894. Na przestrzeni Stanisławów-Mikuliczyn otwarte będą dla ruchu nieograniczonego stacye Bratkowce, Tyśmieniczany, Tarnowica leśna, Nadwórna, Łojowa, Delatyn, Jaremcze i Mikuliczyn, tudzież dla ruchu osobowego i pakunkowego urządzony przystanek Dora, położony między stacyami Delatynem i Jaremczem. Przestrzeń Mikuliczyn-Woronienka ze stacyami Tartarów, Worochta i Woronienka będzie otwartą dla ruchu osobowego, który tymczasowo ograniczy się tylko na niedziele.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 19 listopada. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego odczytano kilkanaście petycyi przeciw otwarciu granicy rumuńskiej dla przewozu bydła. P. Eug. Abrahamowicz poparł gorąco te petycye i żądał, ażeby przy przedłużeniu przywileju banku austr. węgierskiego broniono interesów rolnictwa. X. Kopyciński domagał się tego samego dla małej własności ziemskiej. Pp. Zaleski i Chrzanowski oświadczyli, że pisma powinny gruntownie omawiać przyczyny podrożenia mięsa, tudzież nadużycia, jakie się dzieją na targu wiedeńskim, w ten sposób bowiem społeczeństwo przekonałoby się, że rolnicy nie są winni podrożeniu mięsa. Następnie dokonano wyboru do komisyi. Do komisyi budżetowej wybrano p. Milewskiego, do przemysłowej p. Włodka, a do specyalnej komisyi bankowej pp. Weigla, Milewskiego, Pinińskiego, Rapoporta, Szczepanowskiego, Dawida Abrahamowicza i Rutowskiego. W końcu p. Lewicki przedłożył i popierał petycyę miasta Przemyśla o uwolnienie od podatku domów, które mają być przebudowane w celu asanacyi miasta.

Rzym 19 listopada. Ustawicznie nadchodzą tu doniesienia o ogromnych spustoszeniach zrządzonych przez trzęsienie ziemi. Najbardziej ucierpiała prowincya Reggio w Kalabryi. Gmina San Procopio zniszczona prawie do szczętu. W samym kościele tamtejszym zginęło 90 osób. W Sant Eufemia zginęło ośmioro ludzi, a mnóstwo jest pokaleczonych. — W Oppido zginęło czworo, a w Bagnara siedmioro ludzi. Także w innych miejscowościach mnóstwo ludzi jest ciężko pokaleczonych. Zawiązano już komitet ratunkowy celem niesienia pomocy ofiarom tej katastrofy.

Petersburg 19 listopada. Król serbski przybył tu wczoraj rano. Na dworcu powitał go uroczyście wielki książę Włodzimierz. Przybyli także: książę bawarski Ludwik, książę saski Fryderyk August, książę wirtemberski Albrecht i następca tronu rumuńskiego książę Ferdynand. Wszystkich przyjmowano uroczyście. Książąt niemieckich przyjmował wielki książę Aleksy, a rumuńskiego następcę tronu wielki książę Piotr.

Strassburg 19 listopada. Kanclerz Hohenlohe, żegnany owacyjnie przez ludność, odjechał do Baden-Baden.

Paryż 19 listopada. W nocy umarł naczelny redaktor *Figara* Magnard.

Petersburg 19 listopada. Wczoraj wieczorem przybył tu ks. Neapolu.

Kolonia 19 listopada. Z Petersburga donoszą do *Gazety kolońskiej*: Gdy wczoraj wieczorem carowa wdowa jechała do petropawłowskiej cerkwi, tłum otaczający powóz rzucił się na kolana. Woźnica musiał powóz zatrzymać. Carowa dziękowała ludowi za owacyę.

Wiedeń 19 listopada. Na dzisiejszem posiedzeniu Izby posłów wniósł p. Roser interpelacyę, w której zapytał, czy minister finansów postara się o to, aby kainit z pokładów w Galicyi wydobywano w takiej ilości, ażeby zawsze można go było otrzymać tanio i podostatkiem.

Następnie przystąpiono do debaty nad ustawą o wysprzedażach.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, ale bierze też ona na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 19 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·— do 220·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassy po 200 zł. w. 286.— do 289.—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 450·— do —·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 100·— do [illegible], Banku krajowego 4½% los. w 31 lat. 100·— do 100·7[illegible], Banku krajowego 4½% los. w 57 lat. 96·50 do 97.20. Tow. kredyt. gal. ziemsk. [illegible] 97·80 do 98·5[illegible] 4½% los. w 41½ lat 97.20 do 98·—, 4% los. w 56 latach 97·8[illegible] do 98·—. [illegible] — do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.60 do 97.30. [illegible] funduszu propinacyjnego [illegible] 101·70 do —.— Kom. banku krajowego 5% w. a. [illegible] 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 10[illegible]·50 do —. 4½% 100·— do 100·[illegible] 4% z roku 1893 96·— do 96·70 [illegible] z roku 1893 96 — do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·85 do 9·95. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.35 — do 1.38 ·—. 100 marek niemieckich 60·80 do 61·20.

Wiedeń dnia 15 listopada, (godz. 11 w południe) Kredyty 389.65, kred. węgierskie —·—, Anglor. 176·25 Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 276.—, Akcye tytoniowe 232.—, Staatsbahny 383.— Lomb.(z kup.) 107·— Elbethale —.— Renta papierowa —.—, Renta węg. 4% kor. —.— Renta węg. złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 61.20 Losy tur. —.—.

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

I żeby jeszcze wlec za sobą to biedne dziecko, kiedy je mogli przecież zostawić przy babce! To już przechodzi pojęcie!

— Muszą bardzo kochać to maleństwo — rzekła Vera, tuląc swoje usta do złotej główki Totusia. — Byłoby im bardzo ciężko rozstawać się z niem.

Kobieta roześmiała się.

— Panna także widać przepadasz za dziećmi. Co się tyczy pana, to zgadłaś. Totuś jest źrenicą jego oka. Zdaje mi się, że on nikogo nie kocha, o nic na świecie nie dba, tylko o to dziecko. Ale mylady byłaby go z chęcią zostawiła przy matce. Długo nalegała o to, ale pan oparł się i, jak zawsze, postawił na swojem. Oświadczył jej stanowczo, że nie pojedzie bez malca i koniec. Musiała uledz.

— O, nie dziwię się temu — zawołała Vera. — Takie śliczne, rozkoszne dzieciątko! Żeby to było moje, tobym nie miała serca rozstać się z niem na chwilę.

— To szczególna rzecz — ze zdziwieniem zauważyła piastunka. — Tak panna lubisz dzieci, a przecież postanowiłaś zapewne nigdy nie wychodzić za mąż?

Vera zarumieniła się gwałtownie, boleśnie, i twarz pomieszaną ukryła za kapeluszkiem dziecka.

— Mylnie zrozumiałaś mnie, pani — rzekła gorączkowo. — Ja chcę pozostać samotną... nie pragnę mieć własnych dzieci, ale lubię je, bardzo lubię, i nicby mnie tak nie cieszyło, jak opiekować się takiem oto maleństwem. Czuwałabym nad niem we dnie i w nocy.

— Inaczejbyś panna zaraz mówiła, gdyby ci tak przyszło, jak mnie, ślęczeć przy niem parę nocy z rzędu — zaśmiała się piastunka. — Dzieciak rozpieszczony przez ojca, a przytem i ząbkuje teraz z trudnością. Ale skoro panna jesteś taką zwolenniczką dzieci, to możesz go zabawić przez chwilę, a ja tymczasem pobiegnę ubrać moją panią. Zwykle pan bierze go wtedy pod swój dozór, ale pewnie śpi dotąd jak zabity po tak męczącej nocy.

— O, proszę, niech mi go pani powierzy! — prosiła Vera, której znękana twarz rozjaśniła się radością na myśl, że zostanie sam na sam z dzieciątkiem. — Będę opiekowała się nim z największą troskliwością, nie spuszczę go na chwilę z oka, możesz pani być o to najzupełniej spokojną.

— No, dobrze, dobrze — niedbale odparła kobieta. — Jak panny ręce zabolą od dźwigania, to puść go na ziemię. On może dobrze biegać. Wrócę za jakie pół godziny co najwyżej.

To mówiąc, oddaliła się, zostawiając Totusia, którego różowe usteczka zaczęły drżeć, ale Vera nie dozwoliła mu rozpłakać się na dobre. Dumna i uszczęśliwiona z zaufania, jakie jej okazano, powierzając taki skarb, zaczęła przechadzać się z nim po pokładzie, tuląc i pieszcząc go najczulszymi wyrazami, aż chwilowy przestrach Totusia ustąpił zupełnie i zadowolniony, uśmiechnięty, wsparł jasną główkę na jej ramieniu, jakby przez całe życie swoje nawykł do widoku szarych habitów i wykrochmalonych kornetów. Verze samej dziwno było, że tak łatwo przychodziło jej obchodzić się z dzieckiem.

— Patrz, Totusiu — mówiła, tonąc w tych błękitnych źrenicach dziecka, które przykuwały wzrok jej jakąś magnetyczną, nieznaną siłą — patrz, aniołeczku, jakie ładne okrągluchne paciorki. Chcesz, to ci je będę tulać po ziemi, a Totuś będzie biegał za niemi. Ot tak...

To mówiąc, schwyciła za koniec różańca i cofała się w tył, zwrócona ku niemu, a Totuś uradowany biegł za nią, uderzając w pulchne rączki.

— Czyje to dziecko, Maryo? — spytał Dawid, przystając na ten widok.

— Nie wiem — odrzekła Vera, podnosząc ku niemu twarz tak rozjaśnioną, jak dawno nie widział. — Nazywa się Totuś. Piastunka odeszła, zostawiając mi go na chwilę. Taka śliczna miła odrobinka. Nieprawdaż, Dawidzie?

— Nie przypatrzyłem mu się — odparł mulat. — Ale czy on cię nie zmęczy zanadto, Maryo? Ty jesteś taka wątła. Nie pozwalaj, żeby te sługi nadużywały twej dobrej woli i wyręczały się tobą.

— Och, on mnie nie zmęczy! — gorąco zapewniła Vera. Mnie tak miło mieć go przy sobie... patrzeć, jak biega, jak się śmieje; istny aniołeczek Boży. Przytem ta kobieta zaraz powróci.

— To dobrze; tylko pamiętaj nie nadużywać twoich sił, bo masz ich tak niewiele — odparł Dawid, odchodząc w swoją stronę i zostawiając Verę ze słodkim uśmiechem dziwnego rozradowania na ustach.

— On nie rozumie tego uczucia — mówiła sobie w duchu. — I cóż dziwnego? Tylko kobieta pojąć może, co to za rozkosz pieścić maleńkie dziecię na swojem łonie.

Tu uśmiech jej zniknął nagle i tak głęboki, przejmujący smutek powlókł twarz jej spoważniałą, że Totuś spojrzał na nią zdziwiony, iż przestała weselić się jego radością.

— Jakbym ja chciała, aby on polubił mnie choć troszkę — pomyślała Vera, zwróciwszy znów na chwilę całą swoją uwagę na dziecko.— Chciałabym być z tym ślicznym pieszczoszkiem tak długo, aby nauczył się poznawać mnie i wybiegał sam na moje spotkanie. Ale na co się to wszystko zda? — dodała z westchnieniem. — Wkrótce losy nas rozdzielą, a mnie nowa tylko tęsknota zostałaby w sercu. A ja cię nigdy nie zapomnę, bobusiu mój drogi, choć widziałam cię tak krótko, bo jesteś najmilszem dzieciątkiem, jakie zdarzyło mi się napotkać w życiu.

Zaczęła bawić się z nim w chowanego, a Totuś śmiał się na cały głos biegając za nią, gdy naraz ze swego ukrycia usłyszała męzki głos, wołający: „Synku!...“ Na ten dźwięk chłopczyk przystanął nagle i odwróciwszy się, z wyciągniętemi rączkami pobiegł naprzeciw mężczyzny, który torował sobie ku niemu drogę wśród tłumu.

Klęcząc za grubym zwojem lin okrętowych, Vera spojrzała z ciekawością na nowego przybysza, gdy naraz oddech jej zaparł się w piersi, a wzrok przesłonił się mgłą. Przed nią, o kilka kroków, stał Gordon Romilly. Tak.. to był on... Postarzały przedwcześnie, wychudły, z czołem zasępionem troską, ale niemniej on, we własnej osobie, jej kochanek, jej mąż... Gordon Romilly, którego nigdy już nie spodziewała się spotkać na tym świecie.

W pierwszej chwili doznała tak gwałtownego, do głębi wstrząsającego wrażenia, że uczuła, iż siły ją opuszczają i zdawało jej się, że musi ledz bezwładna tu na ziemi, aby nareszcie wyzionąć ducha. Ale po chwili obawa, ażeby nie została poznaną, przemogła jej niemoc fizyczną i zanim sobie zdała sprawę z tego, co czyni, zbiegła na dół do swojej kajuty i tam, drżąc całem ciałem, rzuciła się na wązkie i twarde łoże. Opamiętawszy się jednak, iż zostawiła bez dozoru dziecię powierzone swojej pieczy, siłą woli podniosła się z posłania i posłuszna głosowi obowiązku, powlokła się znów na górę. W pół drogi jednak siły ją zawiodły; nogi uginały się pod nią, czuła zamęt wielki.

Zawołała więc tylko na jednę ze swoich towarzyszek i poczęła błagać, aby ją zastąpiła i dziecko odprowadziła do piastunki, oznajmując jej, iż siostra Marya nagle rozchorowała się, co ją zmusiło opuścić pokład.

— Co ci się stało? — spytała zaniepokojona siostra Teresa, do której zwróciła się z tą prośbą. — Zdawałaś się zupełnie zdrową przed chwilą. Może sprowadzić ci doktora?

— Nie... nie! — zawołała zniecierpliwiona Vera, kryjąc twarz pomięszaną w poduszkach. Potrzebuję tylko ciszy... samotności. Zostaw mnie, Tereso, proszę cię, i nikomu, prócz piastunki, nie mów, że jestem chora. To tylko zawrót głowy, który przejdzie pewnie za chwilę. Znam się z tem cierpieniem oddawna i żaden doktór nic tu nie pomoże...

Tak... Znała się z tem cierpieniem oddawna, zrosło się ono z jej życiem, przesiąkło w krew jej serdeczną, ale czy odczuwała je kiedy z taką zdwojoną siłą, jak teraz, kiedy przekonała się, że ten, przed którym ukryć chciała swój ból i upokorzenie, aż na drugim końcu świata, dziwnem zrządzeniem losu staje znów w poprzek jej samotnej, ciernistej drogi; że oddycha tem samem powietrzem co i ona, że jeden okręt, jedne fale niosą ich ku dalekim lądom i że za lada spotkaniem poznać ją może. Na samo to przypuszczenie dreszcze konwulsyjne wstrząsały postacią nieszczęśliwej, a jęki stłumione wydobywały się z jej piersi. Czyż nigdzie już nie zazna chwili spokoju i wytchnienia? nigdzie nie zdoła uciec przed męczącą marą wspomnień? Wczoraj jeszcze sądziła, że wszystko już skończone pomiędzy nią a Gordonem Romilly; że przepaść, jaką on sam wykopał pomiędzy nią a sobą, a potem ucieczka jej, rozdzieliły ich na zawsze i że nigdy już oczy jej smutne nie spoczną na jego twarzy. A dziś dowiaduje się, że on jest tuż przy niej, że to dziecko, które z bezwiedną miłością tuliła do swego łona, jest synem z krwi i kości jego zrodzonym, a co gorzej, że ta kobieta, która wydarła jej serce jego, ta znienawidzona ze wszystkich sił duszy, żona jego... znajduje się razem z nim na okręcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni [illegible] W. Manieckiego Zarządca W. Hadak.